Nr. 11. Warszawa, dnia 28 Lutego (12 Marca) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Ponieważ wielu prenumeratorom, którzy przybyli w ciągu lutego, nie mogliśmy dostarczyć wyczerpanych numerów styczniowych Prawdy, *donosimy przeto, że numery te (1, 2, 3, 4, 5, 6) nabywamy od pragnących je sprzedać po cenie zwykłej (20 k.)*

POLITYKA.

„OSTATNIA PRÓBA.“

Gautscha już niema; odszedł w sposób nieprzewidziany: wtedy właśnie, kiedy mniemać było można, że się u steru rządu przynajmniej do ukończenia czynności przez delegacyę austro-węgierską, na kwiecień wyznaczoną, utrzyma. Nagłe to odejście wygląda jak zmiecenie. Z pośród domysłów: jakie mogły być bezpośrednie przyczyny zniknienia ministra i jego gabinetu z widowni wiedeńskiej — trudno odpędzić jeden uporczywy, natrętny: ten, że w dymisyi działał *moment psychologiczny*, a działał niezmiernie szybko. D. 5 b. m. *Wiener Ztng* ogłosiła nareszcie owe rozporządzenia o językach obowiązujących w urzędach państwowych królestwa Czeskiego i Moraw, nad któremi Gautsch od samego początku, od grudnia, w pocie czoła pracował; d. 6 b. m., zaraz po północy, dzienniki wiedeńskie otrzymały urzędową wiadomość, że cesarz przyjął podanie się Gautscha do dymisyi, a do utworzenia nowego gabinetu powołał hr. Franciszka Thuna v. Hohenstein. Historya kiedyś rozwiąże zagadkę; nam dziś wystarczyć musi to, że na miejsce człowieka, który nie był dość wyraźnym, ani jako Niemiec, ani jako federalista, ani jako mąż stanu—wchodzi człowiek wpływowy, znany w Czechach z obrony prawa historycznego, zwolennik federalistycznego układu monarchii, przytem wielki pan i nie mniejszy też zachowawca.

W dzisiejszem położeniu Austryi nie tak groźną jest zachowawczość hr. Thuna, jak pożądaną czysto-polityczna jego dzielność, kunszt prawdziwy, jakiego potrzeba, aby Przedlitawię, Austro-Węgry, Habsburgię całą wyrwać z nad przepaści. Życie samo stawia, nie to zagadnienie: jak rządzić, postępowo czy wstecznie lub zachowawczo, demokratycznie czy arystokratycznie, *bezbożnie* czy klerykalnie? — ale to: czy wogóle będzie czem rządzić; czyli to wszystko, co niby składa całość Przedlitawii konstytucyjnej, a z Węgrami i całość monarchii, przy sprzyjających rozkładowi warunkach zewnętrznych nie rozpadnie się, jeśli nie terytoryalnie, to konstytucyjnie? Potrzeba dziś Austryi nie-najlepszego, najlepiej w tętna teraźniejszości wsłuchującego się demokraty-socyologa, ale najgłębiej w stosunki międzynarodowe wewnętrzne Przedlitawii sięgającego, najumiejętniej środki do uśmierzenia żywiołowej walki, wypowiedzianej Czechom, a w ścisłej łączności i państwu austryackiemu, przez Niemców, obmyślającego polityka — majstra w sztuce wytwarzania faktów dokonanych, zdolnych złożyć się w rzeczywistość upragnioną, nieodbicie potrzebną — konieczną.

Człowiek rozsądny zadanie swoje sprowadzi do tego: jak ocalić Austryę, państwo i mocarstwo, jak podnieść jej siłę i urok, jedno od drugiego w świecie politycznym nieodłączne; jak uchronić wreszcie, nie konstytucyę dzisiejszą, ale samą konstytucyjność rządu przedlitawskiego, dziś z pomocą konstytucyi, na jej podwórku, w jej progach tamowanego przez rozkiełznany egoizm narodowy Niemców?

Czy Thun spełni to zadanie, czy jest człowiekiem spełnić je zdolnym? Czy ogrom nagromadzonych przeszkód nie przewyższa już dziś sił najzdolniejszego nawet polityka? Czy zmiana systemu, powrót do dyplomu z dnia 20 października 1860 r., na którym tak zaszczytnie występuje imię polskie; przebudowanie Austryi w stylu federalizmu i unii silniejszej osobistej niż rzeczowej z Węgrami — niczego więcej nie potrzebują, tylko dobrej woli w panującym cesarzu,—który tyle dał jej dowodów,—tylko energii, rozumu i politycznego talentu w jego pierwszym ministrze? Czy, burząc mimo oporu Niemców, dzisiejszą konstytucyę, przywracając prawa sejmów krajowych w Radzie państwa, federalizując Przedlitawię—ciągle wbrew Niemcom — dla zażegnania huraganu dziś huczącego nie wyzwie się jeszcze straszniejszych? Polityki zagranicznej na chwilę jednę z oka spuścić nie można. Państwo nie istnieje w idealnym jakimś przestworze: na każde życie czyha

śmierć. Trudności, wypracowane przez piętnastoletni przeszło, za Taaffego, system kołysania się Austryi na biegunach kłamstwa mówiącego, że w niej niema kwestyj narodowych, są tak wielkie i groźne, jeśli nie dla Austryi, to dla jej konstytucyjności, że ta „ostatnia próba“ rządzenia z konstytucyą dzisiejszą — jak dzienniki nazywają powołanie Thuna do rządów — może się istotnie zakończyć rządzeniem bez konstytucyi. Państwo musi żyć, musi życia swego bronić. Władza, wypędzona z Rady państwa, musi znaleźć gdziekolwiek przytułek: znajdzie go u cesarza. Ludy przedlitawskie — Niemcom będą miały do zawdzięczenia to wyzucie z praw, które po „ostatniej próbie“ przewidywać należy. Dyktatura wojskowa czy równouprawnienie Czechów — co gorsze? Ale rozsądek nic już dla narodu myślicieli nie znaczy: pędzą naprzód jak stado. Wielka ojczyzna niemiecka rozsadza Austryę.

Tydzień polityczny. W Przedlitawii zmienili się d. 5 b. m. ministrowie; zamiast Gautscha — Thun, b. namiestnik czeski. Nominacye w *Wiener Ztng*: Thun — prezydyum i spr. wewn., Kast — rolnictwo, Kaizl, Czech — skarb, Baernreither — handel, Welsersheimb — obrona krajowa, Ruber — sprawiedliw. Bylandt-Rheidt — oświata, Wittek — koleje. Czterej ostatni byli już w gabinecie Gautscha, a z nich Welsersheimb przetrwał już niejedną zmianę gabinetową i od lat kilkunastu zarządza stale wojskowością. Ministrem bez teki, a zarazem przedstawicielem Galicyi, został Jędrzejewicz, wice-prezes Koła polskiego. Rada państwa zbiera się d. 21 b. m. *Germanissimi* grożą wznowieniem obstrukcyi. Rozporządzenia Gautscha o językach urzędowych w Czechach i Morawii mają posłużyć za tarczę do pocisków, jak w swoim czasie służyły Niemcom rozporządzenia p. Badeniego. Ogłoszone w *Wiener Ztng* z d. 3 b. m. nowe prawidła noszą datę jeszcze 24 lutego. Od poprzednich różnią się zasadniczo tem, że dzielą Czechy na okręgi czeskie, niemieckie i mieszane i do charakteru ich zastosowują język urzędowy; wspólną z niemi mają zasadę, że każdy mieszkaniec w każdym punkcie kraju ma prawo żądać od władzy państwowej odpowiedzi, postanowienia lub wyroku w tym języku, w którym do niej się zwrócił. Na tę zasadę piorunuje niemiectwo; żąda też wciąż uchwały prawodawczej

Dwu było bezpośrednich sprawców zamachu na króla greckiego w d. 26 (nie „29“) lutego; ale dotychczas jeszcze niema dowodów, żeby sprawcą intelektualnym było jakie stronnictwo lub tajne sprzysiężenie.

Komisya budżetowa sejmu niemieckiego z projektem pomnożenia marynarki dopływa do brzegu: przyjmie go z lekkiemi zmianami. W sejmie środek nie będzie się sprzeciwiał; targuje się tylko, ale, nawet nic nie dostawszy, da. Koło polskie jest dziwnie objektywnem. Uchylić się od obrad — to jedyna mądrość.

W sejmie pruskim d. 3 b. m. Izba poselska ukończyła drugie czytanie projektu, dodającego komisyi kolonizacyjnej drugie sto milionów. Bankowi ziemskiemu ratunkowemu grozi odmówienie nadal taniego kredytu przez bank państwowy i wielkie instytucye prywatno-publiczne.

Do Macedonii wtargnął zbrojny oddział z Bulgaryi.

Kongres hiszpański rozwiązany. Wybory wkrótce.

Krüger został na nowo prezydentem Transwaalu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

BEZPŁATNA POMOC LEKARSKA.

W roku przeszłym opracowano projekt organizacyi bezpłatnej pomocy lekarskiej dla ludu w gub. Płockiej. Przed kilku zaś miesiącami w gub. Lubelskiej stworzono komisye w sprawie opracowania planu wogóle pomocy lekarskiej, stworzenia przytułków dla chorych na umyśle i cierpiących chronicznie; wreszcie w sprawie wynalezienia środków walki z syfilisem. Prace tej komisyi oraz trzech podkomisyj dotychczas jeszcze nie przekroczyły granic roboty przygotowawczej. Natomiast Towarzystwo lekarskie w Lublinie opracowało już całkowicie projekt organizacyi pomocy. Zanim wypowiemy kilka uwag, musimy w streszczeniu podać zasadniczą treść ustawy:

Pomoc bezpłatna obejmie wyłącznie ludność niezamożną, której podobno jest tylko 20% w stosunku do ogółu mieszkańców. Reszta, tj. 80%, ma płacić lekarzom. Pomoc będzie udzielana w ambulatoryach, w szpitalach, schronieniach oraz w mieszkaniach osób chorych. Dla zapewnienia jej w gminach istnieć będzie osobna organizacya, składająca się z opiekuna i jego zastępcy, lekarza, felczera, akuszerek i aptekarzów. Opiekunowie i zastępcy mają być wybierani (w każdej gminie) z grona ludności miejscowej, z wykształceniem przynajmniej w zakresie czterech klas gimnazyalnych. Od lekarzy zaś, ubiegających się o posady, wymagana będzie chociaż kilkoletnia praktyka szpitalna w wielkiem mieście. Lekarze, zamieszkali obecnie w gminach, mają jednak pierwszeństwo. Wybór lekarza zależy od powiatowej rady opiekuńczej zakładów dobroczynnych i opiekuna, a zatwierdzenie — od władzy gubernialnej. Gdyby po trzech latach pełnienia obowiązków nie było utyskiwania i skarg ze strony gminy, lekarze ci pozostają na stałe. Każdy okręg lekarski nie może obejmować więcej nad trzy gminy, a gdyby lekarz zapragnął ustąpić z zajmowanego stanowiska, powinien na trzy miesiące przedtem zawiadomić radę powiatową.

Lista osób, mogących korzystać z bezpłatnej pomocy lekarskiej, układana jest corocznie przez wójtów gmin, z udziałem opiekunów zdrowia i pełnomocników gminnych. Z listy tej wykluczeni są: właściciele ziemscy, służba wyższa i robotnicy fabryczni, którzy, zgodnie z ustawą, mają zapewnioną stałą pomoc lekarską od fabrykantów. Po ogłoszeniu listy na zebraniach gminnych, każdy wymieniony na niej otrzymuje kartę imienną dla siebie i rodziny, podpisaną przez opiekuna i wójta.

Oto są ogólne obowiązki lekarza: współdziałanie przy wykonywaniu czynności zdrowotno-policyjnych w okręgu, leczenie ubogich, wybór i uwalnianie felczerów i akuszerek, zawiadamianie lekarza po-

---

43

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Asmodeusze — to Pluszkinowie katorgi. Nazwę tę nosi aresztant, który zbiera pieniądze i odmawia sobie potrzeb najniezbędniejszych. Nigdzie zapewne ta choroba — skąpstwo, nie ujawnia się w takiej potwornej postaci. Jeżeli w duszy więźnia powstaje ono, to wybucha z siłą prawdziwej namiętności i pochłania człowieka całkowicie. „Asmodeusz“ sprzedaje wydawane mu co miesiąc 24 zołotniki mydła i ćwierć cegiełki herbaty.

Ze szczupłej żywności aresztanckiej sprzedaje połowę codziennej porcyi chleba. Umie dwa razy dłużej, niż trzeba, nosić ubranie skarbowe, które już po pierwszym terminie zamienia się zwykle w szmaty. Obdarty, zawsze na pół głodny, w każdej chwili musi drżeć, ażeby go nie okradziono, nieustannie odkopywać pieniądze i zakopywać je w innem miejscu, i to tak, ażeby go nie podpatrzyły dziesiątki śledzących i bystrych öcz aresztanckich. Albo nosi ciągle pieniądze przy sobie w torebce na piersiach, drżąc zawsze o to, że skradną. Morzyć się głodem, prowadzić nieustanną walkę z mieszkańcami katorgi, drżeć o siebie, zatruwać i tak już nędzne istnienie — i po co?

Pewnego razu znalazłem się w dobroczynności derbińskiej.

— Panie, panie, proszę spojrzeć!

Stary, ślepy włóczęga zasnął na tapczanie. Kapota zsunęła się, piersi ledwie przykryte wstrętnymi, brudnymi łachmanami. Starzec spał, trzymając w zaciśniętej dłoni torebkę z pieniędzmi, wiszącą na piersiach.

— Cyt! — szepnął jeden ze starych katorżników i lekko dotknął ręki starca.

Ślepiec zerwał się, jak pod uderzeniem prądu elektrycznego i nie wypuszczając torebki z dłoni, drugą ręką błyskawicznie wydobył z pod poduszki „żulika“ (nóż aresztancki). Siedział na tapczanie, przewracając białkami, kręcąc głową i usiłując rozpoznać za pomocą słuchu, z której strony niebezpieczeństwo grozi. W tej chwili był podobny do spłoszonego w dzień puhacza. Gdy się rozległ ogólny śmiech, zrozumiał, że z niego zażartowano i zaczął kląć okropnie. Doprawdy, trudno określić, kto tu był wstrętniejszy i straszniejszy: czy ci rozpasani, pijani, namiętni gracze-starcy, czy ten „Asmodeusz,“ który dziesięć lat sypia z torebką w ręku i nożem pod poduszką.

Asmodeusz często dla zwiększenia swego majątku zajmuje się lichwiarstwem. Lichwiarz w katordze nosi dwa imiona: Tatar nazywa się *babajem*, Rosyanin — *ojcem*. Zwykle aresztanci zastawiają swoje rzeczy do „piania kogutów,“ tj. na całą noc do rannej kontroli. „Przez noc wygrywa się.“ Przyzwoitym najuczciwszym procentem nazywa się 5 kop. od rubla. Ale zwykle odsetki bywają wyższe i zależą od tego, jak dalece są potrzebne pieniądze. Na pożyczki bez zastawu niema żadnych przepisów. Umowa dowolna. Pożyczki są wydawane na zastaw rzeczy skarbowych, na kradzież, na zabójstwo. Nędzarze i gracze — całe więzienie, zawsze w rękach babajów i ojców. Przyczyną mnóstwa zbrodni na Sachalinie jest ucisk ze strony „babajów“ i „ojców.“ „Zarznij a oddaj!“ W Aleksandrowskiem więzieniu kajdanowem jest ciekawy typ — Bołdanow. Zesłano go za to, że wyrznął całą rodzinę, a na Sachalinie w pierwszy dzień Wielkiejnocy zamordował osiedleńca dla 60 kopiejek.

— Skąd mogłem wiedzieć, ile tam on ma! — mówił mi. W cudzej kieszeni nie liczyłem. Święto, człowiek sobie próżnuje, a więc musi mieć pieniądze.

— Więc zarzynać człowieka dlatego?

— Myślałem, że się odegram.

— Trzebaż było lepiej u jakiego „ojca“ pożyczyć.

wiatowego o chorobach epidemicznych i wykroczeniach przeciw hygienie publicznej. W miejscu zamieszkania lekarza ma być urządzone ambulatoryum dla chorych, przy niem zaś apteka, zawierająca materyały opatrunkowe i doraźne środki lekarskie do stosowania na miejscu. Wreszcie 2—4 łóżka dla chorych w wyjątkowych wypadkach. Z pomocy lekarskiej bezpłatnej ubodzy chorzy będą korzystać we własnych mieszkaniach tylko w takim razie, jeżeli nie mogą być leczeni w ambulatoryum, a cierpienie nie wymaga wysłania do szpitala.

Wynagrodzenie lekarza gminnego wynosić ma 500 rs. rocznie, felczera 150 rs. oraz mieszkanie, światło i opał. W każdej gminie musi być przynajmniej jedna „babka“ z pensyą 50 rs. rocznie. Felczer nie ma prawa leczyć samodzielnie, lecz tylko musi spełniać polecenia lekarza. Dla ludności niezamożnej lekarstwa będą brane z aptek bezpłatnie, na pokrycie zaś wydatków apteki wyznacza się 500 rs. rocznie. Taksa aptekarska ma być ułożona przez osobną komisyę guberníalną, do której wejdą, oprócz inspektora lekarskiego, dwaj lekarze szpitalni i jeden z właścicieli aptek w Lublinie.

Pomoc lekarska w miastach jest oparta na tych samych podstawach, co w gminach, z tą różnicą, że co we wsiach zależy od wójtów gmin, w miastach ma się stać obowiązkiem magistratów. Nadto, ani urządzanie ambulatoryów, ani posady felczerów w większych miastach nie są potrzebne; płaca zaś akuszerek miejskich, po jednej na rewir lekarski, ma wynosić 150 rs. Każde miasto powiatowe, w którem ludność nie przechodzi 10,000, będzie miało jednego lekarza etatowego; w większych zaś, jak Chełm, Zamość, Hrubieszów — po dwu, a w Lublinie — pięciu. Pensya lekarza miejskiego wynosi 400 rs., wydatki apteczne w każdym okręgu — 300 rs. (przyczem lekarz rewirowy nie może pobierać pensyi innej od rządu lub miasta). Przytułki, urządzane kosztem gmin i miast, mają uwolnić szpitale od stałego dziś ciężaru: nieuleczalnych starców. Fundusz na organizacyę służby zdrowia ma być zebrany w stosunku procentowym do podatków gruntowego i podymnego oraz opłaty patentowej za prawo handlu i przemysłu.

Podaliśmy zasadnicze szczegóły tej ustawy, gdyż i inne gubernie na niej będą się wzorowały w pewnej mierze, a więc w razie zatwierdzenia (zapewne ze zmianami), z czasem całe Królestwo Polskie otrzyma nową organizacyę pomocy lekarskiej. Ze względu tedy na taką doniosłość sprawy, trzeba jej kilka uwag poświęcić. Przedewszystkiem podział ludności na korzystającą z pomocy bezpłatnej i płacącą za porady, nadaje całej organizacyi formę połowiczną, a nadto ogromnie utrudnia taki podział mieszkańców oraz wytwarza uciążliwą formalistykę. Kto wie zresztą, czy przy tworzeniu listy tu i owdzie nie ujawni się zła wola wójtów, czy ludność nie będzie narażona na nowy, nieznany dotąd wyzysk.

Przyszła organizacya będzie miała prawdziwe znaczenie społeczne i wywoła gruntowną w tej dziedzinie zmianę warunków na lepsze tylko wtedy, gdy pomoc lekarska na prowincyi będzie *całkowicie* bezpłatna, tj. gdy ludność bez różnicy stanów za pomocą podatku dochodowego zapewni lekarzom i wszelkim ich pomocnikom całkiem wygodne istnienie materyalne, odpowiadające skali wymagań społecznych i umysłowych. Lekarz nie może się stać typowym urzędnikiem, bo z chwilą gdyby się w niego przedzierzgnął, zniknęłaby jego zaszczytna i ważna rola społeczna. Otóż takie zapewnienie bytu na warunkach wyżej wyłuszczonych może tę rolę utrzymać.

Ustawa daje pierwszeństwo tym lekarzom, którzy już pracują w gminie i są z nią obeznani. Jest to całkiem słuszno. Mybyśmy jeszcze dalej posunęli warunki w tej mierze. Lekarz, szczególnie dla ludności włościańskiej, może być prawdziwie pożytecznym tylko w takim razie, jeżeli potrafi wniknąć w całą istotę duchową, moralną, kulturalną, umysłową i zwyczajową tej ludności, tj. gdy ją całkowicie zrozumie i sam, jako człowiek i sumienny pracownik, będzie dostatecznie zrozumiany. Takie tylko warunki są podstawą zaufania ludu do lekarza, a więc zarazem i podwaliną hygieny społecznej na wsi. Już niegdyś w *Prawdzie* zaznaczyliśmy z własnych spostrzeżeń ten objaw, zasługujący na baczną uwagę, że ci ludzie, którzy się urodzili i wzrośli w pewnej okolicy—stali się następnie dla niej, jako lekarze, najpożyteczniejszymi pracownikami i dzięki temu, zaufania ogólnego nie potrafili im odebrać felczerzy najenergiczniejszemi intrygami. W miejscowościach takich zdrowie ludności znacznie się wzmocniło, a znachorstwo ustało.

Tworząc wzór do organizacyi pomocy lekarskiej w całem Królestwie, należałoby porównać dwie opracowane dotychczas ustawy: płocką i lubelską. Należałoby wreszcie zbadać gruntownie obecne warunki pomocy lekarskiej w kraju i potrzeby ludności. Projektowi płockiemu *Medycyna* poświęciła niedawno kilka uwag. Z wniosków jej zasługują na zaznaczenie następujące: Każdy okręg lekarski nie powinien obejmować więcej, niż 30,000 ludności i w każdym musi istnieć szpital, przynajmniej na 20 łóżek, ze stosownem pomieszczeniem dla chorób zakaźnych. Każda gubernia powinna posiadać szpital dla chorych na umyśle i jeden większy dla chorych, wymagających leczenia specyalnego lub dokonania ciężkiej operacyi. Według obliczeń pisma powyższego, opartych na przykładach ze stosunków tych gubernij, w których istnieje samorząd, koszt utrzymania nawet wzorowych urządzeń pomocy dla ludu nie przewyższyłby 2,500,000 rs. Nam się wydaje ta suma za skromną. Zresztą gdyby ją pod-

---

— Pożyczył jeden taki! Pójdź, weź rubelka — z życiem się pożegnasz. Porcyę zabiorą, a z długu pomimo to wygrzebać się nie można... Zastawisz kapotę, a skórę ci zedrą. Nic; każdy powinien także i o swojem życiu pomyśleć. Każdy za siebie.

Mówiąc o ojcach, babajach i asmodeuszach, nie można pominąć ich bliższych pomocników — *barachołszczyków* i najstraszniejszych, nieubłaganych wrogów — *kręconych*. „Barachłom“ właściwie w języku aresztanckim znaczy przedmiot stary, na nic niezdatny, łachmany. Tem imieniem także nazywają więźniowie ubranie im wydawane. Stąd można wnosić, co ono jest warte. „Barachołszczyk“ — to tandeciarz. Wchodząc do izby, woła:

— Komu co sprzedać, przehandlować!

— Kupuje i sprzedaje rzeczy aresztanckie, zamienia, tj. za przedmiot nowy daje stary, z dopłatą. Barachołszczycy są przeważnie komisyonerami „ojców.“ Ale często, kupiwszy za bezcen rzecz skradzioną, barachołszczyk zaczyna prowadzić przedsięwzięcie na własną rękę i staje się z czasem ojcem lub majdaniarzem, nabiera ogromnego wpływu i znaczenia. Gdy widzimy więźnia, wchodzącego do celi z tradycyjnem wołaniem: „komu co sprzedać, przehandlować!“— pomimowoli przychodzi nam na myśl: — Ile razy ten człowiek może będzie trzymał w swoich rękach życie ludzkie!

Z „kręconym“ już spotykaliśmy się, gdy namawiał przyszłego „sucharnika“ na „ślub“ z katorżnikiem długoterminowym i na sprzedanie swojego życia za 5—10 rs. „Kręconym“ z lubością i pewnem poszanowaniem katorga nazywa aresztanta, który przeszedł wszystko. Musi on posiadać wielką umiejętność podejścia władzy; ale największą sławę wyrabia sobie kosztem „asmodeuszów.“ Wkraść się w zaufanie nawet asmodeusza, który boi się wszystkiego na świecie, przyrzec mu zyski, wciągnąć do jakiejś roboty, oszukać i obedrzeć; albo podpatrzyć, gdzie chowa swoje pieniądze, ukraść lub naprowadzić złodziejów — to są zadania „kręconego.“ W specyalności tej dochodzi on do mistrzowstwa, ujawnia czasem genialność w podstępach, przebiegłości, wynalazczości i zdradzie. „Potrafi w pole wyprowadzić!“—mówią z uznaniem aresztanci o dobrym „kręconym.“ Drugą nieustanną ofiarą kręconych jest *wuj szopa*. Tą typową nazwą katorga obdarza każdego prostodusznego i łatwowiernego aresztanta.

— Patrzcie, wuj gębę otworzył, jak szopa! Można tam z wozem wjechać i gospodarować.

Stąd pochodzi nazwa „wuj szopa.“

— „Tuis koływański!“ — tak jeszcze nazywa tych ludzi katorga w swoim charakterystycznym żargonie. Oszukanie prostodusznego i łatwowiernego „wuja szopy“ daje strawę, lecz nie sławę kręconemu. Im więcej asmodeuszów wyprowadzi on w pole, tem większą sławę zyskuje. Podejść asmodeusza — to prawdziwa satysfakcya dla całej katorgi. Sama zaprzepaszczona, w głębi duszy nienawidzi i pogardza tymi ludźmi — ale ulega „ojcom“ i ma dla nich uznanie, jako dla silnych i „możnych.“ Przecież to wszystko nędzarze; nędzarze do tego stopnia, że gdy w więzieniu nagle umrze który aresztant, trup musi być pogrzebany, ale kapota, bielizna, buty zamieniane są na stare.

Ażeby skończyć opowiadanie o „poczesnych“ postaciach więziennych, pozostaje mi, oprócz majdaniarzów, ojców, kręconych i barachołszczyków wzbogaconych, zaznajomić czytelników jeszcze z jednym typem: *powrotnym*. Tak się nazywa katorżnik, który uciekł z Sachalinu, dotarł do Rosyi i stamtąd został „zawrócony“ pod nazwiskiem własnem lub włóczęgoskiem. „Powrotny“ jest nieocenionym towarzyszem dla każdej partyi aresztantów, która zamierza uciec. Zna wszystkie wejścia i wyjścia, wszelkie ścieżyny w tajdze, wszystkie mielizny w rzekach sachalińskich. Wie, jak przejść. Są ulubione miejsca, przez które się ucieka; że tak powiemy — „modne.“ Dawniej w „modzie“

nieść nawet do 3 milionów, nie obarczyłaby zbytnio ludności przy wprowadzeniu najracyonalniejszego podatku dochodowego.

Z GALICYI.

Sesya ostatniego sejmu. — Adres do cesarza i opozycya. — Ustępstwa dla Rusinów. — Rządy szlacheckie w Galicyi. — Projekt reformy wyborczej i mowa hr. Tarnowskiego. — Polepszenie się stosunków na Bukowinie. — Szkoły. — Pomijanie Polaków. — Narodowość Czerniowiec. — Liceum żeńskie.

Od wielu już lat praca sejmu galicyjskiego nie była tak płodną i tak poważną, jak od kilku dni zamknięta jego sesya. Zdawałoby się, że powaga jego urosła w stosunku do groźnego wewnętrznego położenia Austryi. Gdy ze wszech stron rozpadały się resztki dawnego centralizmu, gdy burza opozycyi niemieckiej przeniosła się z parlamentu do sejmów krajowych, a w Pradze przybrała charakter awantury bardzo podobnej do wiedeńskiej, sesya sejmowa we Lwowie przeszła nietylko nadspodziewanie spokojnie, ale próbowała rozwiązać lub rozwiązała kilka spraw politycznych pierwszorzędnego znaczenia. Odczytując sprawozdania sejmowe, zdaje się nieraz, że duch zgody, wypływający z potrzeb, interesów i praw, przeleciał nad skołatanem społeczeństwem galicyjskiem i zasiał dobre i zdrowe ziarno na przyszłość. Wobec silnego przeświadczenia, że wzajemne waśnie i spory nie przyniosą pożytku powszechnego, obrady nad sprawami najbardziej drażliwemi, jak ruska, szkolna, adresowa, reformy wyborczej i inne, odbywały się spokojnie i wyczerpująco. Działo się to dzięki wyraźnemu zbliżeniu się stronnictwa demokratycznego i ludowego, które z większem wzajemnem zaufaniem w uczciwość zamiarów i pracy, niż dotychczas, przystępowały do rozpraw i wspierały się wzajemnie. Posłowie stronnictwa ludowego bodaj czy w czasie ubiegłej sesyi sejmowej nie po raz pierwszy porzucili dotychczasowe stanowisko partykularne, a stanęli na gruncie wspólnych narodowych potrzeb i interesów. Nawet opozycya, z wyjątkiem chyba usunięcia się od głosowania nad adresem do cesarza dwóch posłów rusińskich, nie posiadała dawnego charakteru awanturniczego.

Słówko o adresie. Jest to droga, za pomocą której kraj cały przedstawia wprost monarsze swoje żale, potrzeby najistotniejsze i w ten sposób zaznacza także swoje polityczne stanowisko. Sejm galicyjski od wielu lat nie uciekał się do tego środka; na zeszłorocznej sesyi, kiedy stronnictwo ludowe wystąpiło z projektem adresu, wywiązało się ostre starcie, a większość sejmowa odrzuciła projekt. Dziś wszakże stało się inaczej. Adres, zredagowany przez większość parlamentu z czasu ministeryum hr. Kaz. Badeniego, wyraźnie postawił swoje żądania: rozszerzenie autonomii krajów i koło tego godła skupiły się wszystkie narodowości Austryi— z wyjątkiem Niemców. Mówiąc inaczej, była to wojna wypowiedziana przez zwolenników centralizmu wszystkim innym ludom Austryi. Miała ona tę dobrą stronę, że wykazawszy możebność niebezpieczeństwa, połączyła wszystkich pod sztandarem samorządu krajów. Pod tym sztandarem stanął sejm miniony, a zatem i adres, który stwierdziwszy prawa narodowe, domagał się poszanowania praw i swobód obywatelskich. Zredagowano go dość miękko, ale też i nie było racyi do szorstkiego wystąpienia. Że odpowiadał duchowi i ustrojowi całego tutejszego społeczeństwa, za najlepszy dowód służyć może przyjęcie go przez cały sejm z wyjątkiem dwóch posłów.

Istnieje grupa ludzi śród Rusinów, nie tyle dojrzałych politycznie, ile gorących tam, gdzie można się bez tego obejść, domagająca się autonomii *ludów*, nie krajów. Przedstawicielami tej grupy byli owi dwaj posłowie, którzy do adresu nie przystąpili. Usuwając się, zajęli oni tem samem stanowisko nie historyczne, lecz, powiedziałbym, etnograficzne, na co ani żadne państwo, ani kraj, jako organizm historyczny zgodzić się nie może. Gdyby można było na tej zasadzie oprzeć autonomię kraju, państwo musiałoby dojść *ad absurdum*, bo musiałoby znać często autonomię polityczną drobnych odłamów narodowych lub szczepów, mało lub zupełnie niewyrobionych cywilizacyjnie. W ten sposób należałoby chyba wrócić do luźnego samorządu pierwotnej gminy i przez zróżniczkowanie etnograficzne zatrzeć zupełnie charakter całości narodowej i państwowej, dzieląc kraj na okręgi autonomiczne.

Że sejm zdawał sobie doskonale sprawę z doniosłości znaczenia wyrazu „rozszerzenie autonomii kraju," świadczą o tem wyraźnie ustępstwa, jakie poczynił na rzecz Rusinów, uchwalając nowe dla nich gimnazyum w Tarnopolu, wprowadzając język ruśiński jako obowiązkowy do szkół Galicyi wschodniej, do urzędów i sądów. Stało się to nie pod wpływem nacisku z Wiednia, nie z obawy przed agitacyą, lecz z przeświadczenia, że naród rozwijający się powoli — tylko powoli zdobywać musi prawa, w imię zasady zgodnej wspólnej pracy. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Rusini bez dobrej woli Polaków, zasiadających w sejmie, nie otrzymaliby żadnych ustępstw, gdyż sami stanowią mniejszość tak znaczną, że o walce, a tem bardziej o zwycięztwie marzyć nawet nie mogli. Nie obeszło się i tutaj zapewne bez starć, ale walki te odbyły się w zamkniętem Kole sejmowem, w sali zaś wszyscy głosowali zgodnie. Fakt potrzeby naradzenia się posłów wszystkich odłamów w sprawie ogólnonarodowej wzmocnił powagę Koła sejmowego, które dotychczas zastępowano tak zwaną komisyą-matką. Czy to ustępstwa będą ocenione należycie i czy nie przyniosą szkody narodowi — to przyszłość pokaże.

Niejednokrotnie mówiłem, gdyż fakt ten zaprzeczyć się nie da, że rządy Galicyi są w ręku stronnictwa stańczykowskiego — możnaby je nazwać bez wielkiego błędu oligarchicznem — które opiera się na szlachcie. Jest to żywioł, który już w całej Europie stracił dawny urok: władzę, zachował go jeszcze u nas, gdzie szlachta do niedawna stanowiła jedyną niemal t. zw. inteligencyę. Stanowisko polityczne jego tu i owdzie chwieje się lub łamie poprostu, ale jeszcze w jego ręku spoczywają rządy kraju i ster polityki. Możnaby się zgodzić na rządy najrozumniejszych bez względu na ich herbowne pochodzenie, gdyby szlachta nie posiadała jednej wady: ma ona bardzo mało poczucie potrzeb teraźniejszości innych warstw narodowych i z tej racyi o każde ustępstwo trzeba było długo walczyć. Przyzwyczajona do chodzenia przodem narodu, gotowa porwać się do awantury, gdy widzi swe stanowisko zagrożone; przy-

---

były Pogebi, miejsce, gdzie Sachalin najbardziej się przybliża do lądu stałego — i cieśnina Tatarska (tylko kilka wiorst szerokości). Pogebi, czyli Pogibi (od słowa *pogibnut'* — zginąć) — tak charakterystycznie i prawdziwie katorżnicy przetłomaczyli tę nazwę gilacką. Następnie, gdy w „Pogibach" zaadto wzmocniono kordony, wszedł „w modę" Sartunaj, bliżej ku południowi Sachalinu. Kiedym był na tej wyspie, wszyscy dążyli ku ujściom Najry, jeszcze bliżej na południe.

— Dlaczego?

— Dogodnie; miejsce dogodne— mówią obrotni.

Postrach całego Sachalinu — i służby i aresztantów — Szirokołobow, poszedł szukać „nowego miejsca" na daleką północ, do Tamłowa. Ale zmęczony, zgłodniały, opuchnięty, musiał dobrowolnie oddać się w ręce Gilaków...

Obrotny jest nieocenionym doradcą. Można od niego zdobyć najniezbędniejsze informacye.

W zbiorku swoim mam oblaną krwią książkę włóczęgowską znakomitego powrotnego, „Paszenki" *). Był zabity podczas zadziwiająco śmiałej ucieczki. Książkę, mokrą od krwi, znaleziono u niego na piersiach. Szacowna! Są tam notatki: „1-sza rzeczka od „Pogibów" — 60 wiorst Tengi, 2-ga „Najde," 3-cia „Tamłowo" itd. Są to rzeki sachalińskie. Następnie idzie spis wszystkich zaludnionych miejscowości po drodze od Sreteńska do Błagowieszczeńska, do Chabarowska, przez cały kraj ussuryjski — przyczem liczba wiorst oznaczona z zadziwiającą dokładnością: 2,271—1,898. Dalej wreszcie idą adresy ludzi, dających schronienie i osób pewnych:

„Iwan, syn Wasyla, Czerkaszew, na nowym bazarze, sklepik."

„Nikita, syn Jakóba, Turecki, róg Gusjewskiej i Zejskiej, dom własny" itd.

Wymienieni są ludzie, dający schronienie we wszystkich miastach Syberyi wschodniej i zachodniej tudzież Rosyi europejskiej. Wogóle mieszczą się tam cenne wskazówki, niezbędne dla zbiegów.

Obrotny może ich zaopatrywać nawet w listy polecające. Oto próbka takiego listu aresztanckiego, odebranego zbiegowi:

„J. Gaponiko. (Gaponiko widocznie umówiony znak). Kochany mój towarzyszu *), Juliuszu, synu Iwana, uprzejmie proszę przyjąć tego człowieka, jak mnie Jakób."

Nazwiska w takich rekomendacyach nie są wymieniane, ze względu na możliwe pochwycenie zbiega. Śród „powrotnych" są znakomitości — ludzie, którzy byli w różnych więzieniach i posiadają wpływy. Rekomendacya takiego człowieka może wiele dopomódz w więzieniu. Do takich należy Pazulski. Siedzący z nimi razem w Odesie były bankier Jowannowicz zaopatrzył się w jego listy polecające do różnych osób na Syberyi i to byłemu bankierowi znacznie ułatwiło podróż.

Obrotni posiadają jeszcze jedną specyalność:

Zauważywszy łatwowiernego aresztanta z pieniędzmi, namawiają go do ucieczki i następnie w drodze zabijają, rabują, a sami wracają do więzienia.

— Towarzysz — mówią — rozstał się, albo — pogniewał się i sam poszedł. Ja zaś z głodu wróciłem.

Są tacy, którzy w ten sposób zgładzili ze świata po sześciu towarzyszów. Zbrodnie te są bardzo częste. Ale muszą być popełniane ostrożnie, gdyż katorga za to zabija.

„Obrotni" kończą szereg „poczesnych" postaci.

(C. d. n.).

*) Według obliczeń katorgi, popełnił on 32 zabójstwa.

*) Aresztanci zawsze są bardzo uprzejmi w listach, pisanych do siebie.

zwyczajona do utożsamiania siebie z narodem i państwem, każde odezwanie się innych w imię prawa uważa za bunt. Stąd j... upór każdorazowy, skoro chodzi o ulgi lub okienko dla innych. Długowiekowa władza wyrobiła w niej egoizm klasowy. Charakter tego wyjątkowego położenia szlachty przejawiał się niejednokrotnie w pracach sejmowych, paraliżując nieraz bardzo dodatnie i daleko idące zamiary. Konserwatywna większość występowała i teraz w roli hamulca. Za jej sprawą sejm nie zdołał zmniejszyć nauczycielom emerytury z lat 40 na 35, za jej staraniem upadł projekt rozszerzenia prawa wyborczego do sejmu. Projekt tej reformy wniesiony został przez posła Weigla i towarzyszów. Możebność rozszerzenia prawa wyborczego motywowano tem, że uczyniono je już dla parlamentu, tworząc kuryę V-tą.

Jako generalny mówca wystąpił Stanisław hr. Tarnowski, kacyk teraźniejszych stańczyków, dowódca „straży pożarnej,“ nieomylny polityk, prezes Akademii krakowskiej i uczony badacz, który roku zeszłego polecił do nagrody fejletony p. Hosicka o Słowackim, zebrane w trzy tomy, jako najlepsze dzieło, napisane w ciągu ostatnich lat. Otóż ten mąż, którego zasługi chyba pisma humorystyczne wyliczyć potrafią, mówił przeciwko rozszerzeniu wyborów do sejmu w imieniu swego stronnictwa. Starał się on stanąć na stanowisku, na jakiem stać może tylko *pater patriae*, ale i ta powaga nie zastąpiła braku treści. Przedewszystkiem oskarżył Taaffego o to, „że rzucił hasło reformy wyborczej,“ błędnie wysnuwające potrzeby „z kilku zbiegowisk sztucznie wywołanych,“ gdy sprawa była „tak daleką od dojrzałości, że nie należało jej tykać.“ Kaz. Badeni wstrzymać lewicy nie mógł i dlatego stworzył kuryę V-tą z charakterem głosowania powszechnego. P. Tarnowski utrzymuje, że nie zgadza się ona z ustawą wyborczą Austryi, która posiada charakter „reprezentacyi interesów“; wobec tego wszakże, że kurya V-ta nic innego nie reprezentuje, jak interesy swoich wyborców, uwaga p. T. nie zasługuje na zbijanie. Postawiwszy raz zasadę, że głosowanie powszechne, nawet w formie pośredniej, „nie wychodzi na zdrowie społeczeństwu, interesom, dobru publicznemu,“ broni jej przykładami, czerpanymi z dziejów Grecyi i Rzymu, a nawet dawnej Rzeczpospolitej polskiej. Całą tę obronę nazwałbym nie mową obywatela, występującego przeciwko niesłusznym prawom, lecz adwokata, wysilającego się na obronę niesłusznej sprawy. Można się zgodzić na to, że rozszerzenie prawa wyborczego na warstwy niedojrzałe politycznie jest przedwczesnem, że trzeba zachować wielką ostrożność przy wyborze jednostek, że należy unikać rezultatów przypadkowych — ale zasadniczo odmówić używania prawa obywatelom kraju na tej zasadzie, iż ono z dzisiejszego politycznego stanowiska wydaje się szkodliwem — niepodobna. Dodać i to należy, iż p. T używa argumentów i porównań wprost nieprawdziwych. Pragnąc dowieść szkodliwości głosowania powszechnego, powołuje się na Polskę, w której ta forma reprezentacyi i rządu wywołała rozkład państwa, wiedząc o tem doskonale, iż głosowanie powszechne w Polsce istniało tylko w obrębie jednego stanu — która innych warstw nie dopuszczała. Coś bardzo podobnego działoby się mogło w Galicyi, gdyby nie nowożytny duch czasu, który osłabił absolutyzm klasowy. Że zręczni agitatorowie podchodzą wyborców, kierują ich opinią i narzucają się na przewodników, to nie jest winą bynajmniej głosowania powszechnego, lecz ciemnoty wyborców — a jakaż na to rada? Pan T., kiedy to mówił, najmniej może myślał o nauczycielach wiejskich. Określić prawo jasno — inna rzecz, a pozbawić go ludzi — inna.

Rzuciwszy garść paradoksów, rozwodniwszy je frazesami o obowiązku, potędze, miłości kraju, p. prezes Akademii, polecający fejletony jako pracę naukową, przychodzi do przeświadczenia, że zajmować się dyskusyą nad formą wyborów z V-ej kuryi do sejmu „byłoby lekkomyślnością,“ że zatem wniosku Weigla nie należy nawet odsyłać do wydziału krajowego, bo by to „utrzymywało ludność w niepokoju,“ lecz należy mu łeb urwać odrazu. Taką politykę lubię. Jeżeli ma być coś dobrego dla mnie — proszę zrobić, i owszem; jeżeli zaś dla innych, a ja nie będę miał żadnej korzyści — precz!

Na Bukowinie poprawiły się stosunki zupełnie niespodziewanie. Polacy byli i są tam dotychczas w mniejszości narodowej. Jest to zasługa Austryi centralistycznej, która cudów niekiedy umiała dokonywać. Ukochawszy Bukowinę jako pograniczny kraik między Galicyą a Wołoszczyzną i wybrawszy Czerniowce na stolicę, rozpoczęła ona kolonizacyę niemiecką, wzmocnioną z biegiem czasu szeregami Żydów, garnących się do handlu. W ciągu niespełna stu lat stworzyła się na tem pograniczu dawnej Rzeczpospolitej oaza niemiecka, która dzięki panującemu prądowi centralistycznemu rozrosła się, wzmocniła i, jakkolwiek niewielką liczbą, wzięła górę nad większością narodową, złożoną z Rusinów, Polaków i Rumunów. W ten sposób w Czerniowcach powstał uniwersytet niemiecki, sejm w języku niemieckim, średnie szkoły niemieckie. Od lat 25 rozpoczęła się walka z Niemcami, którzy we własnym interesie stosowali do innych narodowości politykę — znaną dobrze — *divide et impera*. Pomimo to wszystko musieli robić ustępstwa raz Rumunom, drugi raz Rusinom — głównie na polu szkolnictwa, najchętniej zaś walcząc z Rumunami i Rusinami przeciwko Polakom. W tym roku najniespodziewaniej nastąpiło w czasie ubiegłego sejmu zbliżenie na gruncie narodowościowym — Niemcy zostali na stronie. Awanturnicze zachowanie się Niemców w Radzie państwa, budzenie się śród nich zachcianek centralistycznych, niewyraźne ministeryum Gautscha, mające cechy kamordynera, będącego na służbie wielkiego pana, wszystko to dawało czuć przedsmak cywilizacyi niemieckiej, robiącej doświadczenia na skórze słowiańskiej. W takich warunkach droga dla polityki otworzyła się sama— potrzeba zgody wobec niebezpieczeństwa. W sejmie bukowińskim zabrzmiało po raz pierwszy hasło unarodowienia szkoły. Postanowiono tedy nietylko rozszerzyć zakładanie szkół ludowych z językiem narodowości zamieszkującej gminę, ale wprowadzić w Czerniowcach równorzędne klasy z językiem rumuńskim i rusińskim. Postanowiono także zakładać szkoły dla mniejszości narodowych z ich językiem jako wykładowym. To wszystko zmienia sytuacyę doszczętnie. Weźmę dla przykładu Czerniowce jako miasto. Posiada ono 18,000 Żydów, 9,000 Niemców, 10,000 Rusinów, 8,000 Rumunów i 8,000 Polaków. Dotychczas wszystkie wyższe i średnie szkoły były w ręku Niemców, którzy z Żydami wspólnie cywilizowali inne narodowości. Teraz dopiero nastąpiła zupełna zmiana frontu.

Mimo to wszystko Niemcy bronią swego uprzywilejowanego stanowiska i do obrony nieczystej sprawy znajdą zawsze naturalnie renegatów. Czerniowiecka Rada miejska postanowiła jubileusz cesarza uczcić założeniem liceum żeńskiego. Bardzo piękna i pożyteczna myśl. Inspektor szkolny, dr. Tumlicz, z pochodzenia Czech, a z przekonań — narodowiec niemiecki, opracował plan. Będą tam wykładane języki: niemiecki, francuski, angielski, rumuński, rusiński, o polskim — zapomniano, a przecież jest to dla Polek rzeczą bardzo ważną, bo gdy im wypadnie z pracy swojej szukać chleba, nie pójdą ani do Rumunii, ani do Prus, lecz do Galicyi. Zapewne Niemcy czerniowieccy, skoalizowani z Żydami, będą musieli z buty swojej coś ustąpić na rzecz barbarzyńskiego języka polskiego.

Cho.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Walka rasowo-ekonomiczna.—Rolnictwo, przemysł i handel w rękach polskich. — Dane ilościowe i jakościowe. — Zapatrywania Niemca na kolonizacyę w dzielnicach polskich. — Kolonizacya jako czynnik, wytwarzający oporność narodowościową.— Towarzystwo przyjaciół nauk.

„Szlachta, zepsuta dwuwiekową anarchią polityczną, przedstawia się jako czynnik ekonomiczny na pozór potężny, lecz w gruncie rzeczy mało oporny. Mieszczaństwo, zawisłe od szlachty, przeważnie niezasobne, zajmuje się wprawdzie rękodzielnictwem, lecz bardzo pierwotnem i dlatego szuka zarobku pobocznego w rolnictwie. Lepszy przemysł znajdował się w rękach Żydów i Niemców. Materyałem roboczym był tylko chłop, gnieciony pańszczyzną i poddaństwem, obojętny na to, co się działo wkoło niego. Szlachtę więc wyzuć powoli z ziemi, chłopa i małomieszczaństwo pozyskać dla idei pruskiej — oto cel, na pozór łatwy do osiągnięcia, postawiony odrazu przez rząd pruski.“

Taki obraz nieprzygotowania do walki społeczeństwa wielkopolskiego w chwili przejścia pod panowanie rządu pruskiego kreśli jeden z ekonomistów. To też od samego początku z największą energią wytężono siły przeciwko szlachcie, jako najwięcej uświadomionej i najsilniejszej ekonomicznie. Ta zaś walka poczyniła największe wyłomy w szeregach stanu. Dziś ogólny obszar polskiej własności większej w Poznańskiem wynosi przeciętnie na każdego właściciela 4,800 mórg. „Własność ziemską polską możnaby porównać z wyspą Helgoland, otoczoną falami niemieckiego morza, bez przerwy wystawianą na ich burzące działanie. Co rok fala niemiecka urywa bezpowrotnie strzęp polskiej ziemi.“

Co do poziomu rolnictwa, stoi ono dziś wyżej, niż kiedykolwiek i to, co się nazywa *polnische Wirtschaft*, należy już do wyjątków, gdy przeciwnie — gospodarstwa wzorowe dziś często spotkać można. Wiele się do tego przyczynia między innemi „Centralne Towarzystwo gospodarcze w W. Ks. Poznańskiem“ z licznemi filiami. Nadto szlachta polska wysyła swoich synów do akademij rolniczych, którzy rozszerzywszy widnokręgi wiedzy specyalnej, mogą tem łatwiej stosować w praktyce metody postępowe. I na tem polu wszakże pozostaje jeszcze bardzo wiele do zrobienia; jest mnóstwo braków, niedokładności, omyłek i na ogół — stosunkowo za mało rolników, posiadających rzetelną wiedzę fachową. Jeżeli zaś Niemcy dziś wyrażają się z większem uznaniem i nawet z pewną zawiścią o postępach gospodarki rolnej w rękach polskich, to głównie dlatego, ażeby obudzić czujność i zagrzać swych współplemieńców do żarliwszej walki ekonomicznej.

W r. 1894 ks. Bismarck powiedział wobec deputacyi Niemców poznańskich w Warcinie, iż „miejski stan średni jest słabą stroną Polaków.“ Twierdzenie to stara się faktami obalić cytowany powyżej ekonomista, Wielkopolanin, w pracy p. t. „Walka rasowo-ekonomiczna w W. Ks. Poznańskiem.“ Miasta w Poznańskiem nie są bynajmniej tak niemieckie,

jak mniemano. Na 131 tych ognisk tylko w 60 Niemcy stanowią większość. W 70 są mniejszością, a w 39 Polacy czynią 80% ogółu ludności. Przemysł polski i handel, według wykazów powyższego autora, ciągle wzrasta i coraz skuteczniej walczy z żywiołem wrogim. W Inowrocławiu było 1885 r. 16 niemieckich a 2 polskie handle towarów kolonialnych. Dziś obok 7 niemieckich jest 10 polskich, prócz tego 3 składy apteczne. Przedsiębiorstwo budowlane w r. 1885 było całkiem w rękach niemieckich. Dziś wedle Finka jest 6, wedle Jaworskiego 2 budowniczych Polaków. Śród piekarzy nie było w r. 1885 żadnego Polaka: dziedzina ta należała niepodzielnie do 15 Niemców. Dzisiaj zaś na 28 piekarzy jest 8 Polaków. Fryzyerów w r. 1885 było 2, z nich jeden tylko Polak; dziś na 10 jest 8 Polaków. Przed 12 laty był jeden lekarz, dziś — pięciu.

W Śremie przed 30 laty było wielu przemysłowców niemieckich, sklepy w rynku należały przeważnie do Żydów i Niemców. Dziś tylko jeden zegarmistrz i aptekarz mają swe firmy w rynku. Od r. 1865 ludność niemiecka w Śremie stale się zmniejsza, o czem świadczą księgi metryczne.

Przewaga liczebna wszakże nie daje jeszcze powodu do tryumfu, bo jak sam Wielkopolanin twierdzi, „daleko przemysłowcowi naszemu do doskonałości. Jeszcze nie umie np. na większą skalę łączyć swych kapitałów, celem zakładania większych spółek handlowych, jeszcze uważa przemysł jako zawód przejściowy, służący tylko do zrobienia majątku; jeszcze wielu, uciuławszy kapitalik w jakiemś przemysłowem zajęciu, zamiast tym funduszem interes rozszerzyć i przekazać dzieciom, szuka dla siebie i dzieci niby zaszczytniejszego zajęcia, na którem nieraz majątek traci.“ Brak rzetelności w wykonaniu roboty i wygórowane ceny psują wielu rękodzielnikom Polakom dobrą sławę i odstręczają odbiorców.

Na tem polu coś się jednak robi. Dzięki zabiegom inteligencyi, powstają towarzystwa i spółki polskie, w których mają pewne znaczenie szczególnie przemysłowe i zarobkowo-gospodarcze, czyli banki ludowe. Towarzystw przemysłowych istnieje około 100 w 80 miejscowościach W. Ks. Poznańskiego. Prezesami są przeważnie ludzie ze sfer inteligencyi. Towarzystwa te wytknęły sobie następujące zadania: pouczanie wzajemne, podniesienie przemysłu i — skromną zabawę w obrębie instytucyi. Działalność wszakże tych drobnych ognisk jest rozproszona; nietylko brak bodźca do centralizacyi, ale nawet poczucia jej potrzeby. Obecnie na 120 towarzystw przemysłowych w Prusiech Zachodnich i W. Ks. Poznańskiem tylko 30 należy do związku centralnego.

Bądź co bądź, widzimy, chociaż powolny, lecz stały wzrost oporności zarówno ekonomicznej, jak i narodowej w prowincyach polskich pod panowaniem germańskiem, a tej oporności miliony kolonizacyjne nietylko nie osłabią, lecz chyba wzmocnią. Zdanie to wygłaszaliśmy niejednokrotnie na tem miejscu, a obecnie możemy podzielić się z czytelnikami podobnym poglądem... Niemca! Niedawno zamieścił on w *Berliner Tageblatt* artykuł, wykazujący chybione zabiegi w tej mierze: „Kto mieszka w Poznańskiem, śledzi z uwagą środki, jakich rząd używa celem wzmocnienia niemieczyzny w prowincyach wschodnich i kto jednocześnie miał możność zapoznać się z pojęciami i nadziejami mieszkańców Księztwa, ten doznawa wstrętu na widok środków, dotychczas używanych w celu popierania interesów germańskich. Jesteśmy dalecy od tego, ażeby lekceważyć niebezpieczeństwo, grożące nam ze strony rzeczywiście wzrastających ciągle nadziei polsko-narodowych. Nie możemy jednak w żaden sposób uznać obecnego postępowania rządu za sprawiedliwe i moralne. Jakież skutki ono dotychczas przyniosło? Około 100,000 hektarów ziemi, uzyskanych przez komisyę, a w części tylko rozdzielonych pomiędzy Niemców-osadników, nie można chyba brać w rachubę, tem bardziej, że skutkiem nieodpowiedniego wyboru kolonistów wytworzono nieświetne stosunki. Wielu Niemców-przybyszów z powodu nieznajomości warunków miejscowych, doszło do zupełnej ruiny majątkowej, wielu zaś innych to samo czeka w przyszłości. Nie 100, lecz nawet 1,000 milionów nie wystarczy, jeżeli rząd nie zmieni nadal swego postępowania.

Jakież on zmiany wprowadził za pomocą stosowania środków dotychczasowych? Około 100 większych posiadaczów ziemskich ubyło w prowincyach wschodnich Prus i Poznańskiego. Za to zaś nieufność i nienawiść Polaków, właścicieli wielkich, udzieliła się także mieszczaństwu i ludowi. Nie możemy zaprzeczyć, iż szowinistyczna robota hakatystów w znacznym stopniu stała się przyczyną tej nienawiści. Skutki zaś takiego stanu rzeczy uderzają przedewszystkiem w rząd, gdyż ten usilnie popiera owo towarzystwo, moralnie i materyalnie. Faktem jest niewątpliwym, że szlachta polska dąży do upadku; nie będziemy jej opłakiwali. Gdy nie umie, czy też nie może nabrać doświadczenia, niech sama cierpi. Występowanie rządu przeciwko powstałemu stąd wzburzeniu, jest całkiem słuszne i uzasadnione. Ale inaczej rzecz się ma w stosunku do mieszczaństwa i ludu. Zmienił się duch tych warstw, które niedawno jeszcze były zadowolone z rządów pruskich — bo uciskają je, odsuwają od dorobku krajowego i zmuszają do mowy niemieckiej. Zdaje się, iż przeszłość nie nauczyła jeszcze niczego naszych mężów stanu.“

„Polacy nie będą nigdy dobrymi Prusakami, ale na dobrych poddanych urośliby w innych warunkach. Powiedzmy wreszcie szczerze, kto trzyma prym w ruchu polskim: tylko szlachta i duchowieństwo. Żadnemu włościaninowi nigdy nie przyszłoby nawet na myśl łączyć się z dawną gnębicielką - szlachtą, posiadaczką wielkiej własności, aby wypowiedzieć walkę germanizmowi i Niemcom. Dopiero rząd, odbierając ludowi to wszystko, co mu się należy, sam stworzył te stosunki. Środki, którymi się on posługuje, idą oczywiście na korzyść wielkich posiadaczów, gdyż ułatwiają im wpojenie w lud tego przekonania, że rząd wkłada na niego te same obowiązki, co na Niemców, lecz jednocześnie nie daje mu tych samych praw, co tamtym. W ten tylko sposób możemy sobie wytłomaczyć, dlaczego obecnie wzmagający się ruch polski ogarnia szerokie warstwy ludowe. Jeżeli rząd nie porzuci drogi, którą dotychczas podąża, to zdobyty obecnie nowy fundusz 100-milionowy posłuży tylko do wzmocnienia ruchu polskiego. W ten sposób tracimy olbrzymie sumy po to jedynie, ażeby wiernych poddanych zamienić na nieprzejednanych wrogów.“

Autor domaga się, ażeby rząd przekształcił ustawę kolonizacyjną i zupełnie zaniechał kolonizowania dzielnic polskich. Czy jednak takie oświetlenie sprawy przez Niemca wywrze jakikolwiek wpływ? Nie przypuszczamy. Za wiele drapieżnych ptaków hakatyzmu pragnie w tym funduszu swoje szpony umaczać. Za wiele przytem jest pobudek różnych grup ludności niemieckiej, osłaniających się pozorami patryotyzmu, a stojących na gruncie, który nie ma nic wspólnego z patryotyzmem. Kolonizacya — to jedna z postaci rabunku uprawnionego, popieranego na drodze legalnej.

Istnieje w Poznaniu instytucya, szumną i poważną nosząca nazwę: „Towarzystwo przyjaciół nauk,“ którego działalność i zadania daleko odbiegają od tytułu. Towarzystwo to posiada przedewszystkiem ten brak, że prawie nie ma w niem... uczonych. Członkowie jego są „przyjaciołmi“ *nauk*, które znają przeważnie ze słyszenia i w swojem stanowisku towarzyskiem chcą mieć powagę, łatwo zdobytą za pomocą składki i... tytułu członkowskiego. Słabostki tej bynajmniej nie mamy za złe. Owszem, niech Towarzystwo przyjaciół nauk popierają choćby analfabeci, byleby ono odpowiadało zadaniu i przyniosło istotny pożytek krajowi. Zebranie doroczne, zwołane d. 24 stycznia, wykazało jednak całą jałowość tego ogniska „nauki“ i „sił naukowych.“ Wykazano tam mianowicie, że, zgodnie z tradycyą, Towarzystwo poprzestawało na zebraniach wydziałowych. Względnie najwięcej życia ujawnił wydział historyczno-literacki, na którego czele stoi p. Bolesław Erzepki. Natomiast ekonomiczno-prawny rzetelnie spał przez cały rok snem hreczkosieja, znużonego doglądaniem robotników w polu. Wydziały: lekarski, przyrodniczy i techniczny, wreszcie archeologiczny budziły się czasem z lżejszej drzemki, ażeby sennych słuchaczów zwołać na posiedzenie, dość nudne i sennie odczytać na nich senne referaty. Wydział archeologiczny może się pochwalić jedną pracą: wykończył drugi tom „Albumu przedhistorycznych zabytków W. Ks. Poznańskiego.“ Zawiera on 21 dużych tablic fotodrukowanych z rysunkami 600 przedmiotów, stanowiących zbiory Muzeum archeologicznego powyższej instytucyi naukowej.

Rocznik, organ Towarzystwa, zmienił się o tyle, że wychodzi nie raz do roku, jak dawniej, lecz w zeszytach co kwartał. Oprócz tego wydawnictwa przystąpiono do ogłoszenia niedrukowanych dotąd „Zabytków piśmiennictwa polskiego XVI i XVII wieku,“ dzięki Erzepkiemu. Pierwszy zeszyt obejmuje „Kazania z r. 1555 nieznanego kaznodziei,“ drugi — przekład polski „Apokalipsy, tj. objawienia św. Jana.“ Rzecz tę odszukał dr. Erzepki w bibliotece seminaryjnej gnieźnieńskiej.

et.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Echo z „towarzystwa.“

Czterech kupców, trzech rzemieślników, jeden fryzyer, jeden konduktor itp., razem dwunastu obywateli paryskich, wysłuchawszy świadków, którym nic potwierdzającego zarzuty Zoli zeznać nie pozwolono, czyli zbadawszy przeprowadzony w ten sposób „dowód prawdy“ zgwałconej tak, jak może nigdy jeszcze w sądzie publicznym zgwałcona nie była — skazało najznakomitszego z żyjących pisarza Francyi na rok więzienia i 3,000 fr. grzywny. Wyrok ten, którego surowość zadziwiła nawet samych jego twórców, mężów przysięgłych, został natychmiast potwierdzony w kilku trybunałach prasy warszawskiej, a w Paryżu wniesiony do kasacyi. Zanim tam się rozstrzygnie, możemy żar naszych humanitarnych namiętności osypać popiołem, zająć się w antrakcie skandalicznej farsy własnemi sprawami.

P. J. Weyssenhoff, który mniej pisze, niż mógłby i powinien, dał nam rodzaj powieści p. t. „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego.“ Jakiemuś bystremu sprawozdawcy zawdzięczam wiadomość,

że ma to być wylew bardzo subtelnej ironii. Ale nawet przy tem światełku nie zdołałem rozpoznać zbyt cienkich nitek satyry w całkowitym jej wątku i zrozumiałem tylko oderwane jej kawałki, które może nie należą do przekonań autora, ale zasługują na uwagę. Mianowicie kilku bohaterów powieści pozwala sobie na krytykę t. zw. „towarzystwa.“ Jeden z nich powiada: „Nigdy jeszcze wyższe towarzystwo w Warszawie nie było tak marne. Długo żyję, znam kilka pokoleń i mówię z głębokiego przeświadczenia... Wierzę mocno w hierarchię i w prawa najlepszych. Rząd nie należy do tłuszczy, ale do wyboru ludzi; jeżeli gdzie jednak ten wybór przestarzał się, zmarniał i spaczył, nietylko potrzeba zastąpić go innym, ale koniecznie zastąpią go inni. U nas nie chodzi przecie o oligarchię, ale choćby o przedstawicielstwo społeczeństwa. To przedstawicielstwo nie istnieje dzisiaj w Warszawie, a jeżeli istnieje, to obok grupy, mającej do tego pretensye.“ Drugi mówi: „Czemże jest jednak wogóle warszawskie towarzystwo? Arystokracyą rodową? Wyłączmy kilka domów i kilkanaście przyjezdnych osób, pozostaną Odęccy, Łataccy, Podfilipscy, szlachta -- łagodnie się wyrażając — świeższa. Arystokracyą inteligencyi, pracy społecznej, zasługi? Nie warto na to odpowiadać. Arystokracyą pieniężną? Tej ja osobiście nie uznaję, a przytem są to ludzie i bogaci i zupełnie biedni. Czemże więc jest? Może towarzystwem do niesienia sobie wzajemnej pomocy? Tem się właśnie (nie?) odznacza. Może stowarzyszeniem w celu zabawy? Gdyby znowu zamknąć kilka otwartych domów, zabawa wspólna ograniczyłaby się do kółek familijnych. Więc czemże jest nareszcie te 350 osób, które przeszły dziś przez ten dywan? Chyba tylko 350 numerami w ogólnym spisie ludności miasta Warszawy... Są to rozbitki, synowie dawnych pokoleń, remanenty najróżnorodniejszych kół i kółek. Ponieważ jednak ci ludzie nie są skupieni w imię niczego, nie mają nic z sobą wspólnego, jak tylko plotkę i krój fraka, razem więc są niczem.“

Wyznaję szczerze, że nie mam o to do nich żadnej pretensyi, a nawet jestem im za tę bezideowość i bezczynność bardzo wdzięczny. Z dwojga bowiem złego wolę, ażeby ludzie, którzy są zdolni i najmniej szkodliwi w ustawodawstwie kroju fraka, próżnowali sobie pasorzytniczo śród wygód odziedziczonej lub nabytej nadwartości, niż żeby wtrącali się do prac społecznych, które tylko popsuć mogą. Ich „nieobecność,“ czyli tak niegdyś opłakiwany „absenteizm“ jest największym tytułem ich chwały i najgłówniejszym powodem mojego dla nich uznania. Więc proszę mnie nie posądzać, że pragnąłbym zreformować i udoskonalić „towarzystwo,“ nad którem bohater p. Weyssenhoffa, a może i on sam tak ubolewa, a którego nie poczytuję wcale za pierwiastek niezbędny lub chociażby znośny w najlepszym ze światów. Przytoczyłem powyższe świadectwo w innym celu: chcę powiedzieć słów parę o talentach i udziale owego „towarzystwa“ w literaturze naszej.

Talentów posiada ono bardzo mało: zniżywszy nawet wymagania i sięgnąwszy po za Warszawę, możnaby zebrać zaledwie kilka. I ta mała gromadka składa się wyłącznie z pliszek, chwalących ogonki własnego gniazda. Najwybitniejszy między nimi, rodzaj raka na bezrybiu, p. Tarnowski, chociaż profesor literatury, wyszukuje w niej pisarzów utytułowanych i ustawia na szczycie Olimpu. Inni również, wschodząc na niebie piśmiennictwa po nad jego szarym tłumem, mają takie miny, jak słońce świecące nad stadem pasących się na polu owiec. I trzeba przyznać, że owce nieraz z podziwem podnoszą głowy ku tym słońcom i beczą zachwycone. Krajobrazy te są śmieszne, ale naturalne, bo od wieków wszędzie wierzono, że *non cuique datum est habere nasum* — co znaczy: nie każdemu dano nos; a jeżeli nawet ktoś go ma, to mogą mu zaprzeczyć do niego prawa wszyscy posiadacze i czciciele nosów zadartych.

Rozumie się, że możliwość rozmaitości uzdolnień śród 100 jednostek jest 20 razy większa, niż śród 5. Byłoby więc niesprawiedliwością żądać, ażeby śród garsteczki autorów z „towarzystwa“ znalazły się geniusze i to różnorodne. Ale jeżeli zbierzemy te garstki z lat wielu, wypadnie nam garść duża, w której już powinnibyśmy doszukać się lepszych a zwłaszcza odmiennych ziarn. Tymczasem — nie. Wszystkie one jak z jednego kłosa, tylko większe lub mniejsze, a przeważnie chude i zwyrodniałe. Powtarzam: w tych uwagach nie chodzi mi o pisarza-reformatora „towarzystwa,“ lecz o utalentowanego malarza i krytyka tej sfery. Skoro ona istnieje, pragnęlibyśmy ją poznać w oświetleniu takiem, któreby uwydatniło należycie jej naturę, fizyognomię, dążenia, cele, uczucia, zasady, wreszcie umysłową i moralną nicość. Ile razy ktoś próbował to uczynić z po za kasty, wydrwiono go, że jej wcale nie zna i że — jak Kraszewski powiedział niegdyś o Bałuckim — obserwuje pańskie salony przez dziurkę od klucza.

Próbą odsłonięcia widowni „towarzystwa“ jest utwór p. Weyssenhoffa. Ale próbą albo bardzo lękliwą, albo też jeszcze niewprawną. Autor niewątpliwie zna swoich *Papenheimerów*, nie wiadomo jednak, czy nie chce ich rysować dość wyraziście, czy też nie widzi dość jasno ich znamion charakterystycznych. Jego postacie są tak posrebrzone i pozłocone, że musimy odskrobać grubą warstwę błyszczu, ażeby wydobyć pospolity aliaż. Czyż się nie znajdzie artysta śmielszy, realniejszy, coby odgarnął migotliwy obłok, opasujący wyższe kręgi góry. Dla społeczeństwa byłoby to bardzo pouczającem i pożytecznom. Mamy w literaturze odzwierciedlone wszystkie warstwy społeczne, tylko „towarzystwo“ nowoczesne nie ma w niej swego ekranu i żywych obrazów. A może p. Weyssenhoff, który posiada wiele ku temu warunków, pokusi się o nie z lepszym skutkiem, niż w „Żywocie Podfilipskiego“? Byłoby to bardzo pożądane. Należy tylko zapomnieć o obowiązkach „rasowości,“ a pamiętać o wymaganiach sztuki.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA PRÓBA DZIEJÓW FILOZOFII.

Rozwój systemów filozoficznych świata cywilizowanego bywa przedstawiany zwykle jako wygnik postępującej myśli krytycznej, która działa wolna od pęt czasu i przestrzeni — w pewnych granicach. Filozof mniema, że stoi po nad nędzami świata, że „czysty rozum,“ wolny od wszelkich namiętności dnia, jest źródłem jego spekulacyj, niekiedy posuwa się on nawet tak daleko, iż z największą pogardą spogląda na zabiegi ludzkie, na walkę o zaszczyty lub kawałek chleba. Wyrażenie „spokój filozoficzny“ bywa często używane w mowie codziennej dla oddania nie bezstronności, którą można nietylko pojąć, lecz i poważać, ale najpospolitszej obojętności względem cierpień i uciech doczesności. Wśród poetów znajdujemy samotników, którzy uciekają od gwaru życia, przeklinają go i złorzeczą. Zawierzywszy im, możnaby mniemać, że znienawidzili wszystko. Ale w gruncie rzeczy odludkowie ci nawet w takiem rozgoryczeniu cierpią jeszcze i czują za miliony. Takich osobistości spotykamy niewiele wśród grona filozofów; prócz kilku nazwisk, nie umiałbym wyliczyć wrażliwych nczuciowo umysłów, natomiast mamy sporo olimpijczyków Zaznaczam zresztą tylko fakt, o podnoszenie go do poziomu zarzutu bynajmniej mi nie chodzi; zaznaczam zaś tylko dlatego, ażeby tem silniej podkreślić powody, dające filozofom prawo twierdzić, iż wysnuwają spekulacye swoje, kierowani wymaganiami „rozumu,“ iż działają w nich nie namiętności społeczne, lecz „logika,“ pozbawiona stronności. A jednak sądzę, iż takie mniemanie należy do liczby tych zdawkowych liczmanów, które od dziesiątków lat krążą, świadcząc tylko o tem, jak rutyna rozsiadła się nawet w macierzy nauk i jak historycy rozwoju filozofii są zatopieni w bezmyślnem notowaniu następstwa imion i treści tego, co każde z nich zostawiło w skarbnicy wiedzy. Lecz prędzej lub później będzie musiał nastąpić przewrót, polegający na przedstawieniu filozofii, jako kwintesencyi istniejących stosunków społecznych, jako łuny ideologicznej, unoszącej się nad padołem nędz ludzkich i namiętności, sposobów życia i obcowania gromadnego. Taki charakter samej filozofii bynajmniej nie przeczy spokojowi i obojętności specyalistów od teoryi poznania i spekulacyj, ale otoczenie działa tam w sposób pośredni przez nawyknienia i wzory dzieciństwa, przez dogodności lub dolegliwości życia.

Już dzisiaj ukazują się próby podważenia dotychczasowych poglądów na rozwój filozofii.

W jednem z czasopism niemieckich znajdujemy rozprawkę niejakiego d-ra Stillicha *), przedstawienia z podobnego punktu rozwoju filozofii greckiej. Podając jej treść w naszym artykule, jesteśmy dalecy od myśli uważania tej próby za doskonałą. Posiada ona sporo wad, niekiedy może grzeszy pogwałceniem faktów, ale mimo to patrzymy na nią jako na objaw znamienny — zrewolucyonizowania pewnej dziedziny wiedzy, bardzo potrzebującej takiego powiewu świeższych idej. Chodzi nam przedewszystkiem o przekonanie czytelnika, że kwestyę można oświetlić w sposób zupełnie nowy. Ktoś sformułował zadanie i dowiódł możliwości nowego stanowiska, ktoś inny może rozwinie tkwiące tam założenia. Każdy system filozoficzny, zdaniem dr. Stillicha, jest tylko duchowym wyrazem dla pewnego materyalnego stanu społeczeństwa, zwierciadłem położenia pewnego narodu, klasy lub stronnictwa, utworzonem na podłożu istniejącej w tym czasie znajomości praw przyrody. Otoczenie rzeczowo-społeczne stwarza samorzutnie w umysłach pewien nastrój życiowy z odpowiednim sposobem pojmowania samego życia, te zaś stany w związku z każdorazowem pojmowaniem kosmosu, zależnem od techniki ówczesnej, wydają szczególny system filozoficzny. Większość filozofów greckich usiłowała udowodnić słuszność swoich zapatrywań na życie drogą wytworzenia odpowiedniej kosmogonii. Wyjaśniali oni pochodzenie świata i człowieka i stąd wywnioskowywali, że jeżeli świat powstał w taki, nie zaś w inny sposób, przeto ludzie powinni żyć według odpowiednich zasad. Tryb życia społeczny zamienił się u nich na prawo przyrody, filozofia zaś na jego tłomaczkę. Epoki rozwoju myśli filozoficznej muszą więc znaleźć pomieszczenie w ramkach kolejnego następstwa faz ewolucyi rzeczowo-ekono-

*) Dr. Stillich: „Ueber griechische Philosophie vom Standpunkte der materialischen Geschichtsauffassung.

micznej i być rozpatrywane współrzędnie w związku z temi ostatniemi. Dr. Stillich w historyi Grecyi wyróżnia trzy takie okresy. Pierwszy z pośród nich obejmuje wiek VII i VI przed początkiem naszej ery, jest to chwila przełomu — zamiany staroczesnego gospodarstwa naturalistycznego na pieniężne i walki pomiędzy arystokracyą a demokracyą. Na drugą epokę przypadają czasy kwitnące Aten, kiedy demokracya stała się zasadą ustroju tej rzeczypospolitej miejskiej. Wreszcie następuje trzecia epoka — upadku Aten i wogóle Grecyi, wywołana głównie przez to, że drogi handlowe obrały sobie za ognisko główne Aleksandryę, wojny wewnętrzne nigdy nie wydałyby takiego rezultatu bez współdziałania tej zasadniczej sprężyny.

Pierwsze próby filozoficzne pojawiły się w koloniach jońskich i na przyległych wyspach, tj. w miejscach, które pierwsze doszły do rozkwitu ekonomicznego i zamożności skutkiem rozwiniętego handlu. Bogactwa nagromadzone dały początek zbytkowi i użyciu, których nic nie krępowało. Ludzie odpowiednich warstw tonęli w rozkoszach życia, bez myśli o jutrze; przysłowie jedno, które stało się zasadą Jończyków, głosiło: „Żyjmy dzisiaj wesoło i żwawo, bo jutro śmierć może przeciąć dni nasze!“ Taki tryb życia wyłonił odpowiednie dla siebie systemy filozoficzne, sformułowane przez Talesa, Anaksymandra i Anaksymenesa. Myśliciele ci wykazali współrodakom, że właśnie takie napawanie się rozkoszami życia, takie zapamiętałe kosztowanie wszelkich jego słodyczy jest najwłaściwsze, radę zaś swoją oparli na wywodach co do początku kosmosu. Wszechświat — dowodzili oni — powstał na drodze przypadku i wszystko, co w nim spostrzegamy, posiada taki sam rodowód — kosmos wyłonił się z wody, ognia lub chaosu. Żadna wyższa inteligentna siła nie przewodniczyła aktowi stworzenia, istniejemy więc na tym padole nie dla celów wyższych, lecz ażeby żyć i używać. Życie, poparte przez taką filozofię, wpływające w nadużycia, niebawem wydało skutki ujemne zwyrodnienia a zarazem próby reformy. Pytagoras jest właśnie przedstawicielem takiego kierunku. Swoją teoryą, mającą w podstawie liczby, usiłuje on dowieść, że osnową bytu kosmicznego jest miara i harmonia. Harmonia taka sama powinna panować też w życiu codziennem, ludzie zaś żyć w sposób umiarkowany, bo stanowią cząstkę przyrody i nie mogą bezkarnie wyłamywać się z pod praw powszechnych. Ten okres rozkwitu kolonij jońskich jest we właściwej Grecyi widownią zaciekłych zapasów klasowych, wynikających z postępującego rozwoju gospodarstwa pieniężnego i podważania przez nie podstaw naturalnych. Po jednej stronie powstaje zamożna arystokracya, korzystająca z licznych przywilejów, z drugiej zaś wyodosabniają się masy ludu, pozbawionego własności i praw. W tym zatargu wzajemnie wrogich interesów każdostronnictwo wyłania właściwą sobie filozofię — nawskróś klasową, mającą przedstawić roszczenia odpowiedniej warstwy, jako prawa wszechświata. Ksenofanes przedstawia pierwiastek ludowy, Heraklit broni przywilejów arystokracyi. Pierwszy z tych filozofów usiłuje wykazać, iż wszyscy ludzie powinni być nawzajem braćmi, bo przyroda nie zna i znać nie chce różnic, co udowadnia założeniem, iż wszechświat stanowi jedność; uczniowie jego, Parmenides i inni, dalej rozwijają tę myśl zasadniczą wywodów mistrza wraz z jej wnioskami społecznymi. Natomiast Heraklit wykazuje, że nie może nigdy nastąpić zrównanie pomiędzy arystokracyą a demokracyą, zamożnymi a biednymi, a nawet nie powinno, bo świat składa się z nierówności, bo rządzi nim zasada antagonizmów. Gdy zaś kiedykolwiek zbywa na nierówności, zdarza się to tylko chwilowo: równość pod wpływem własnego rozwoju przechodzi w nierówność. Filozof ten wciąż przeciwstawia to, co istnieje, temu, co jeszcze nie istnieje — *dem Seiendem ein Nicht-Seiendes*, jak węzłowato wyraża się wyszkolony język filozofii niemieckiej. Kosmos znajduje się w nieustającym procesie przekształcenia, którego podstawą jest spór, on to powołał do życia bogów i ludzi, zamożnych i nędzarzy. Walki społeczne poczynają się w prawie natury, są nietylko konieczne, ale i uprawnione.

Okres drugi powołuje do życia wszechpotęgę Aten, miasto to jest naówczas głównem ogniskiem pośredniczącem między Wschodem a Zachodem. Demokracya jest panią rzeczpospolitej, wraz z jej potęgą ujawniają się tendencye cezarystyczne i Perykles wykazuje całą doniosłość powierzenia naczelnej władzy wyższym umysłom. Pod wpływem tych faktów powstaje filozofia Anaksagorasa, osobistego przyjaciela wielkiego Ateńczyka. Punktem ciężkości jego wywodów jest *nous*, tj. inteligencya, kształtująca kosmos, porządek zaś, mądrość i potęga — jej przymiotami. Cały system przedstawia jedynie wysławianie istniejącego ustroju ateńskiego wraz z jego potężnym kierownikiem, Peryklesem. Filozofia Anaksagorasa jest zresztą tylko jednym z płodów nowego okresu, demokracya oddziałała bowiem na cały byt społeczny i wyłoniła zgoła nowe potrzeby i zadania. Dawne wykształcenie młodzieńca ateńskiego polegało na ćwiczeniu mięśni, lecz teraz, jeśli ambicya jego sięgała dalej, musiał on wziąć się do innych studyów, nabyć wiadomości o społeczeństwie. Życie przed każdym otwierało najwyższe godności, byleby posiadał on odpowiednie zdolności i wiedzę. Dawna więź rodowa uległa zupełnemu rozprzężeniu, indywidualizm obywatelski stanowi zasadę bytu gromadnego i wchodzi w zatarg z dawną ideą, iż człowiek jedynie w związku ze społecznością ojczystą żyć może, w niej rodzi się i powinien umrzeć. Te zmienione stosunki wyłoniły sofistów. Sofiści z V wieku przed naszą erą są kierownikami nowych prądów. Uprawnili oni krytykę życia, rozwijającą się w stosunku do dawnych zwyczajów i praw. Wymówiono posłuszeństwo wszelkiej powadze, zarówno doczesnej, jako też nadprzyrodzonej; każdy chce być osobiście odpowiedzialny za swoje czyny. Zjawiają się systematyczni a płatni nauczyciele. Jeden z pierwszych, Protagoras, udziela każdemu „dobrej rady,“ tj. uzbraja go argumentami w obronie zachcianek i celów czysto osobistych, i uczy powściągliwości i przewidywania skutków. Inny, Gorgiasz, daje lekcye retoryki, tj. umiejętności bronienia każdego stanowiska. Opuszczamy rodowód dalszych systemów drugiego okresu, zaznaczywszy tylko ostateczny wynik poszukiwań dr. Stillicha, mianowicie że filozofia ówczesna ma za przedmiot wychwalanie istniejącego ustroju demokratycznego, protestuje przeciw różnicom klasowym i broni wolnomyślnych i indywidualistycznych dążności, które rozwinęły się na podłożu demokracyi.

Okres trzeci — to czasy upadku. Wojna peloponeska złamała potęgę Aten, ludność zubożała. Grecya znalazła się po za obrębem dróg handlowych, w usposobieniu ludu nastąpiło zniechęcenie, przestano wierzyć w zdrowe samorzutne siły rozwoju i wyobraźnia zaczęła zwracać się w kierunku ubiegłej lepszej przeszłości i marzyć o wskrzeszeniu dawnych czasów. Ludzie, nie ufając własnej sile i pobudce, zaczynają zwracać oczy w kierunku potęg nadprzyrodzonych lub wyidealizowanych, troska o czystość osobistą, o własną duszę zaczyna górować. Obywatele i za nimi myśliciele zamieniają się na marzycieli, owioniętych mistycyzmem lub idealizmem, który patrzy nie w przyszłość, lecz w przeszłość, stwarza nie jasny cel dla dążności społecznych, lecz utopie i mrzonki. Myśliciele zaczynają nawoływać na drogę cnoty, reformować jednostki, spodziewając się, że i wtedy społeczeństwo przekształci się w kierunku dodatnim. Sokrates jest zachowawcą do szpiku kości, inicyatorem ruchu etycznego, w którym w cnocie pojedynczej jednostki rozpływa się interes społeczny; ma on mnóstwo recept mądrych dla obywatela, żadnej dla ustroju społecznego. Cynicy, obrońcy proletaryatu, który zszedł na włóczęgów, dowodzą, że „dla mędrca ojczyzna jest niepotrzebną,“ cała ich nauka nie uwzględnia więzi społecznej, widzi tylko pojedyncze osobistości, którym zaleca umiarkowanie. Cyrenejczycy, stojący na gruncie plutokracyi, również są pozbawieni zmysłu społecznego, z tą różnicą, iż radzą użycie skarbów doczesności. Jeżeli zaś zamiast jednostki ukaże się pierwiastek społeczny, jak u Platona, nosi on na sobie nawskróś znamię mistycyzmu lub mrzonkowatości idealistycznej.

Poprzestaliśmy na bardzo powierzchownem oddaniu głównego wątku wywodów dr. Stillicha, zresztą także bardzo pobieżnych i niewystarczających. Zresztą nie chodziło nam o przedstawienie treści jego niewielkiej rozprawki, odznaczającej się schematyzmem i niedokładnością, lecz tylko o zaznaczenie możliwości związania dziejów myśli filozoficznej z rozwojem stosunków społecznych, o zaznajomienie czytelników z pewnym prądem, który jeszcze słabo zabiera głos w teraźniejszości, chociaż w przyszłości może zrobić to wyraźniej.

J. W.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Alfred lord Tennyson, a Memoir by his son. 2 vol. Londyn, 1897.

Życie jest dla tych, co czują — tragedyą, a dla tych, co myślą—komedyą. Istnienie Tennysona było jedną wielką, nieprzerwaną sielanką. Pogoda ta objaśnia się w ten sposób, iż był to raczej artysta i myśliciel, niż poeta. Myśl jego nie przedstawiała żadnych polotów twórczych, ale niewątpliwie była żywa i wciąż obudzona. Kto wie nawet, czy jakieś głębokie zwątpienia go nie nurtowały. Tajemnicę tę umiał jednak ukrywać głęboko. Położenie w świecie wymagało odeń, aby wciąż nosił maskę prawowierności i nieznaczności. Pamiętniki syna maski tej nie odsłaniają, a jednak niektóre wskazówki pozwalają sądzić, iż wewnętrznie był głębszy od tego wizerunku, który światu pozostawił. Opowiadają, iż Wordsworth, przechadzając się niegdyś z przyjacielem, stanął przed okratowanem oknem, ujął żelazo i wstrząsnął niem kilkakrotnie. Na zapytanie, czemu to czyni, odrzekł, iż niekiedy musi powtarzać ten ruch, aby się przekonać o swem istnieniu. Tennyson w tym samym celu powtarzał nieraz własne swe nazwisko. Nieznaczny ten z pozoru fakt jest oznaką umysłu albo gruntownie wyrzuconego nieszczęściem z równowagi, albo też nurtowanego pracą wewnętrzną, która dotarła do podstaw bytu, a może i do odmętów szału. Ponieważ pierwszy wypadek stanowczo do Tennysona zastosowany być nie może, pozostaje tylko drugie przypuszczenie.

Ale któżby się tego spodziewał po pogodnej i wdzięcznej powierzchności jego dzieł?

Za to poetą był tylko dla tych, co poezyę mieszają z artyzmem. „Love is my sin“ —„miłość jest moim grzechem.“ — mówił Shakespeare i to powtórzyć można o wszystkich wielkich poetach. Jeden z największych, Lope de Vega powiada w tej kwestyi: „Wierzajcie mi, iż ten, co się nie urodził z sercem kochającem, może być dobrym rymotwórcą, ale nigdy nie potrafi poruszać serc; kochać i pisać poezye—jest toż samo. Największych poetów świata utworzyła miłość.“ W tych słowach człowieka, który znał się i na poezyi i na miłości—był jednym z słynnych Don Juanów swego czasu — zawiera się głęboka prawda. Psychofizyologia pokaże nam kiedyś ścisłe węzły pokrewieństwa, łączące dwie te dziedziny syntezy, odbywającej się w ogniu namiętności. Otóż i pod tym względem życie Tennysona sprawia wrażenie szare i ubogie. Tylko może w jednej epoce, gdy pisał „Locksley - Hall“ miłość go żywiej zraniła, ale bogobojny syn i tego zaparcza, chcąc przedstawić ojca zupełnie bez zarzutu. Przyjrzyjmy się bliżej temu życiu.

Syn pastora z Somersby, Alfred był czwartem z pomiędzy 12-ga dzieci (ośmiu chłopców i czworga dziewcząt). W piątym roku życia pisywał już wiersze, w dwunastym ułożył poemat „pełen bitew, okrętów i gór,“ a w czternastym — dramat. Lubiał opowiadać braciom i siostrom legendy, które tak pięknie opracował w cyklu Arturowym. Ojciec, zrażony niepowodzeniem i owdowiały, był zawsze smutny, ciotka surowa kalwinistka — ponura i opryskliwa, siostry miały starą guwernantkę, do której Alfred, po przeczytaniu Don-Kiszota, napisał w dwunastym roku życia list miłosny, nazywając ją kochaną, niezrównaną Dulcyneą, ... swej duszy, panią serca i wychwalał blask jej uroków i czar anielski. Po ukończeniu pierwszych nauk wstąpił wraz z bratem swym, Karolem, na uniwersytet w Cambridge'u. Tu należąc do kółka literackiego, Alfred poznał i zaprzyjaźnił się z Hallamem, który wywarł na życie jego wpływ stanowczy. Był to entuzyasta czuły i delikatny, o powierzchności prawie kobiecej. „Bóg wewnętrzny — pisał Tennyson o Hallamie — błyszczał w jego błękitnych oczach, nad któremi wznosiło się czoło godne Michała Anioła.“

Gdy w 1830 Tennyson wypuścił w świat pierwszy zbiór swych poezyj, kółko powyższe nazwało go swym wieszczem, a Hallam napisał gorącą pochwałę w „Englichman's Magazine.“ Publiczność jednak pozostała chłodną. Jest to naśladownictwo wszystkich szkół poetów ówczesnych oprócz Shelleya. „Spożywcy opium“ przypominają manierę niewyraźną i marzycielską Coleridge'a „Córka młynarza“ sielanki angielskie Wordswortha, miłość czystą i trwałą, w otoczeniu pięknej przyrody, „Fatima“ Wschód Moore'a, „Oenona“ — ideał grecki, pojęty panteistycznie na wzór Keatsa, nareszcie od Southey'a wziął zamiłowanie do czarów i udawaną gorączkę namiętności.

Właściwie mówiąc, w tych „Juvenilia“ znajduje się już cały prawie późniejszy Tennyson. Z natury miał niewiele oryginalności i pewnych granic przekroczyć nie mógł. Wszystkie powyższe czynniki, które u romantyków były potrzebą dzikie i rozczochrane, on poddał kulturze sztuki eleganckiej, przyzwoitej, która powstrzymuje wszelkie wybuchy głosu lub ruchów, wszystko, coby mogło w mieszczańskim salonie wydać się pospolitem. Ani cienia namiętności w tej poezyi młodzieńczej. Są tu klomby, kwiaty, ptaki i kobiety — Izabel, Claribel, Medeline — dobrze wychowane, czułe i wdzięczne dziewczątka.

Krytyka była w r. 1830 nader surową dla tej pierwszej pracy. Tennysona nazwano dyletantem, który umie rysować tylko figurki. Poeta wpadł w zniechęcenie, chciał opuścić Anglię, uciec do Włoch. Z przełomu tego wyprowadził go Hallam, dając mu wiarę i kierunek. Przestraszony własną niestałością i rozmaitością, Tennyson chciał się skupić i przyłączyć do jakiejś doktryny. Z łatwością poddał się też wpływowi przyjaciela, który był zagorzałym spirytualistą. Niestety, Hallam umarł w r. 1833. Boleść poety była wielka. Wyłonił ją w pięknym poemacie „In memoriam,“ nad którym pracował lat dziesięć. Mamy tu człowieka głęboko wierzącego. Czasy — powiada — gdy duchy nawiedzały mury w ruinach i puste komnaty starych zamków, przeszły, ale obecnie duchy nawiedzają pamięć i sumienie tych, co ich kochali. „I czemu — zapytuje — dusza nie mogłaby się objawić duszy?“ Pewnego wieczora, gdy był przejęty gorącą chęcią nawiązania zerwanej przyjaźni, wydawało mu się, iż duch jakiś obcy wcielił się weń, iż zdolności jego się zdwajają: widzi, czego nigdy nie widział, czuje, czego nigdy nie czuł, rozumie prawdy, które nie mają wyrazu w języku ludzkim. Od tego czasu żałoba była skończona, a smutek ustał. Tennyson wskrzesił przyjaciela w własnym swym duchu. Będzie na przyszłość Tennysonem i Hallamem. Ile w tym mistycyzmie jest literatury, a ile prawdy, trudno orzec. Był to jednak cień tylko przelotny, ani przedtem, ani potem wiara nie była potrzebą umysłu Tennysona—może serca, a najbardziej położenia społecznego. Zwątpienie często, acz nieznacznie tchnie w jego dziełach mroźnymi podmuchami.

W r. 1842, po dziesięciu latach milczenia, Tennyson znowu wystąpił na scenę. Jego spirytualizm i liberalizm był w zupełnej zgodzie z ówczesnym nastrojem kraju. Obok „In memoriam“ dał tu znowu idylle angielskie, opracował kilka legend Arturowych, z czego następnie zrobił sobie specyalność. Słowem, były to też same tematy, co i przed dziesięciu laty, ale warunki zupełnie się zmieniły. Ostatnie czasy romantyki już przebrzmiały i mieszczaństwo angielskie szukało w poecie przyzwoitego bawiciela. Stał się nim Tennyson — poeta narodowy. Bulwer nazywał go już wówczas „miss Tennyson,“ a jednak w zbiorze z r. 1842 znajduje się kilka rozdzierających krzyków istotnej namiętności. A mianowicie w „Locksley-Hall“ opuszczony dla innego poeta złorzeczy i przeklina. Później w „Maud“ i „Aylmer-Field“ znajdujemy też same gniewne akcenty, też samą głuchą chęć zemsty, zlekka tylko uśmierzone pogardą wieku dojrzałego. Wszystkie te utwory, jakby przestraszone własną swą śmiałością, kończą się zapewnieniem wiary w postęp, naukę i religię. Są to jednak ślady Tennysonowskiego byronizmu, ale pogodzonego w końcu z kościołem i społeczeństwem. Miłość jest to „prolog na niebie,“ po którym ma dopiero się rozpocząć właściwa akcya i wówczas natura gasi to fantastyczne światło, jako zupełnie zbyteczne.

W r. 1850 Tennyson, wskazany przez swego poprzednika, Wordswortha, mianowany został poetą-laureatem, ożenił się z miss Emily Selwood i od tego czasu życie jego staje się ostatecznie uregulowanem. Wydziedziczony przez ojca na korzyść brata młodszego, dziesięć lat odkładał swe małżeństwo. Nareszcie przyszło powodzenie i bogactwo. Zamieszkał w Farringsfordzie, na wyspie Wight, tym „raju ziemskim.“

Spędził tu 40 ostatnich lat. Londynu i jego salonów nienawidził. Był zupełnie szczęśliwy, nie znając żadnych zatargów ani z sobą, ani z otoczeniem. Największe jego smutki były spowodowane przez zadraśnięcia miłości własnej. Pomimo iż był piękny, jak Apollo i silny, jak Herkules, miał wrażliwe nerwy kobiety. Mawiał do syna, iż „jest mniej czuły na przyjemność uwielbienia, niż na ból, który mu sprawia najmniejsza krytyka, chociażby była skierowana przeciw małemu palcowi jego nogi.“ „Jak wszyscy Tennysonowie, mam krew czarną i przypominam sobie wszystkie przekąsy, które mi powiedziano, ale nie pamiętam wcale pochwał.“ W tej właśnie wrażliwości chorobliwej znajduje się tajemnica delikatnego „dotknięcia,“ którem wielbiciele Tennysona tak się zachwycają. Nie wolno w poecie nic niszczyć, z obawy, iż wraz z jego wadami znikną i zalety. Rodzina czuwała wciąż nad tem, aby zaoszczędzić Tennysonowi tych ukłuć bez liku, które zwykle towarzyszą ludziom wybitnym. Pewien humorysta radzi tym ostatnim, aby posyłali swym przyjaciołom, a zwłaszcza kolegom szkolnym na Nowy Rok pasy skórzane, które mają ich ochraniać od pęknięcia ze złości i rozlewu żółci. W ciągu 52 lat, po każdym nowym tomie puszczonym w świat, Tennyson otrzymywał od osoby nieznajomej — był to pewno kolega szkolny—list pełen wymyślań. Rodzina paliła je, nie oddając pisarzowi.

Wyjście nowej jego książki było dlań jedynym ważnym wypadkiem. Oddał się całkiem opracowaniu cyklu legend Arturowych. „Idylle królewskie“ powstały z różnych natchnień, połączonych w jedną całość. Tennyson pracował nad niemi lat 36. W r. 1870 dzieło było ukończone. Ta ucieczka w świat wiejskich czynów i szlachetnych uczuć mogła się odbyć tylko zdala od życia. Jest tu pełno starych, dziwnych grodów, zamków napół zrujnowanych, młodych dziewcząt o złotych włosach i niebieskich oczach, galopujących na białych koniach szlachetnych rycerzy i zdradzieckich czarodziejów, cudów, objawień, zaklętych królewien i wędrownych mnichów.

Wszystko to opracowane jest w sposób najbardziej artystyczny, jaki tylko wyobrazić sobie można, ale swoją drogą sprawia wrażenie przyjemnych malowideł, zawieszonych na ścianach pensyi dla dziewcząt i mających służyć dla ich zbudowania. Artur jest uosobieniem kultu kobiety, siły na posługach prawa i modlitwy.

Wszystko to jest zupełnie nieokreślone i odbywa się tam, gdzieś, na granicach historyi i legendy. Z biegiem czasu malowidła Tennysona nabierają coraz więcej realizmu i ścisłości. Zamiast cieniów, które się obracają śród mgły, daje ludzi i charaktery, zwłaszcza z ludu. Są to przeważnie charaktery szlachetne: tak „Enoch Arden“ poświęca się dla szczęścia żony, która w ciągu jego długiej nieobecności wyszła powtórnie za mąż.

W tego rodzaju sielankach umie on oddać krajobraz angielski, zwłaszcza zaś lubi widoki radosne i światło. Chłop jego jest trochę konwencyonalny.

W końcu zabrał się też do tetru i zostawił kilka dramatów: „Becket,“ „Harold,“ „Królowa Marya,“ które słusznie uważane są za część najsłabszą jego dzieła. Dramaty te osnute są na wypadkach historycznych, które przeplatają się zwykle z intrygą osobistą. Ale dwa te czynniki idą zwykle samopas, niezlane w jedną całość i przeszkadzające sobie wzajemnie, gdyż rozwijają się niezależnie. Autor wprowadza do swych sztuk epoki całe, ze stronnictwami walczącemi i całą armią osób działających. Żeby zapanować nad takim światem, należałoby mieć geniusz twórczy Shakespeare'a, gdy Tennyson jest tylko pierwszorzędnym wirtuozem. Ci kardynałowie rzymscy, doktorzy teologii, dworacy, aldermanowie, żebracy, dyplomaci, praczki itd. — wszyscy oni bardzo ładnie mówią, ale nie żyją. Zamiast wy-

padków mamy opowiadania „naocznych świadków“ o nich, zamiast charakterów—portrety. Tennyson sądzi te epoki z punktu widzenia „historyka bezstronnego,“ ale nie daje realnego ich obrazu.

W r. 1883 Tennyson przyjął parostwo, aby „zrobić zaszczyt literaturze.“ Zarządzał znakomicie olbrzymim swym majątkiem, uwielbiając praktyczność i zdrowy rozsądek. Był to człowiek myślący i nadzwyczaj oczytany. Rozumiał, iż rzemiosło poety wymaga człowieka całkowitego. Szukał natchnienia we wszystkich dziedzinach wiedzy. Pisał wierszem o botanice i o kwestyi kobiecej („Księżniczka“). A we wszystkiem i zawsze miał na oku smaki estetyczne zbogaconego mieszczaństwa i interesy swej karyery. Była to dusza we wszystkiem umiarkowana, lubiąca wszędzie porządek. Jedyną jego, prawdziwą namiętnością był tytoń. Nie tworzył sobie żadnych wyobrażalnych cierpień, ostrożnie kierował majątkiem i sercem, a jeżeli miał głębokie, wewnętrzne zwątpienia, szczelnie je zakrywał. Umiał potrącać wszystkie struny liry poetyckiej i nie wywoływać żadnych rozdźwięków. Sława jego jest wygórowana, z wielką szkodą chociażby takiego Shelleya. Tennyson, ten człowiek myślący, nie rozumiał, iż wielkich poetów tworzy uczucie i szał. On myślał raczej o tem, jakby pogodzić konserwatyzm z postępem i zdobyć sobie wszystkie klasy społeczne. I dopiął celu.

Dr. L. W.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Kazimierz Gliński: *Almanzor*, tragedya w pięciu aktach (7 odsłonach).

Powiadają niektórzy, że do obowiązków krytyki, publiczności i teatru należy popieranie dramatu polskiego. Jest to wprawdzie tylko pięknie brzmiący frazes, ale mniejsza o to, zgoda! Frazes — gdyż prawdziwa sztuka podpórek protektorskich nie potrzebuje i prędzej czy później sama sobie prawa wywalczy. Zgoda—gdyż pod słowami popierania swojszczyzny kryje się myśl niedawania pierwszeństwa lichotom obcym. Jeżeli jednak godzimy się na popieranie dramatu polskiego, to jeszcze z tego nie wypływa, abyśmy lada czupiradło romantyczne dramatem nazywali. W przeciwnym bowiem razie osiągniemy rezultaty, których bynajmniej nie pożądaliśmy: będziemy szkodzili dramatowi polskiemu utrwalaniem autorów w ich błędach, odstraszymy publiczność od uczęszczania na owe polskie dramaty, a przedsiębiorstwa teatralne od wystawiania sztuk, niemających, bo niemogących mieć powodzenia. Istnieją wprawdzie utwory sceniczne, które z powodu wysokiej wartości literackiej nie zyskują popularności; mówiąc jednak o dramacie, mamy na myśli ten dział piśmiennictwa, dla którego scena jest najwłaściwszym żywiołem.

Te myśli nasuwają się nam mimowolnie po przejrzeniu tego, co w pismach o premierze Glińskiego wygłoszono. W jednych artykułach złożono niemal bez zastrzeżeń hołd scenicznemu talentowi Glińskiego, w drugich dano mu przez watowane rękawiczki lekkie klapsy; nie spotkaliśmy się jednak dotąd z pismem, któreby zarówno Glińskiemu, jak i publiczności powiedziało szczerą i bezwzględną prawdę. Rozwiewanie wszelkich iluzyj jest nad wyraz przykre. Zanadto jednak zależy nam na estetycznej kulturze publiczności, pierwszej sceny naszej i na istotnym rozwoju dramatu polskiego, abyśmy sobie ubocznymi względami zatykali usta. Dziś, gdy przechodzimy w pamięci wszystkie prace dramatyczne Glińskiego, które pojawiły się w druku, gdy nadto dwa utwory odrębnych od siebie barw wystawiła nam najlepsza scena, jaką mamy, możemy już sobie utworzyć zdanie o wartości scenicznej dzieł tego autora i to zarówno granych, jak i niegranych.

Zdawało się, że Glińskiemu, jako poecie lirycznemu, nie bardzo będzie do twarzy z krotochwilą; zdawało się, że on sztandar swój rozwinie właściwie dopiero w „Almanzorze“. Próba sceniczna, jedyny sprawdzian, doprowadziła nas do wręcz przeciwnego mniemania. „Szaławiła“ trzyma się na scenie, gdyż jest bezpretensyonalną igraszką dobrego humoru; „Almanzor“ natomiast na scenie przepada, gdyż jest utworem z pretensyami do wielkości. W „Szaławile“ patrzymy na wszystko przez pryzmat fraszki, w „Almanzorze“ przez pryzmat wstrząśnień estetyczno-moralnych. Tu musi być wszystko należycie uzasadnione. Rytmiczny wiersz i najzręczniej dobrany rym nie zastąpi braku psychologii, charakterów, namiętności i złudy scenicznej. Na każdym kroku pytać musimy autora, dlaczego daną scenę skreślił lub daną postać wprowadził. Na jakiej zasadzie psychologicznej dostaje Jezyd w pierwszym akcie pomieszania zmysłów? Czy przeraził się własnych swych zbrodni? Bynajmniej. Jezyd podaje Merwanowi truciznę, jak mówi Nuradyn, z żabim spokojem, nawet szydzi cynicznie z ofiary, dusi ją, następnie za zbliżeniem się Almanzora odgrywa komedyę strapionego, wreszcie zachwyca się wobec niezastygłego trupa otrzymanym od Nuradyna pierścieniem, układa się o skarby sewilskie; nagle zaczyna się „oskubywać,“ publiczność w żaden sposób zrozumieć nie może, co się stało; Jezyd zwaryował — równie dobrze mógł był dostać bólu zębów, albo zapalenia oczu. Na co jest druga odsłona? Jaki jej związek z całą sztuką? Jest to przytem obraz niesmaczny, nudny, bardzo słabo napisany a obmyślany naiwnie. Poco wprowadził autor do dramatu postać Kryspina? Kryspin wywiera wrażenie Poliszynela ze sztuk zeszłowiecznych, który zjawił się jedynie w celu rozśmieszenia gawiedzi, nudzącej się na patetycznej tragedyi. Co porabia w tym utworze Inez razem ze swojem staropanieństwem? Gdzie nić, która wiąże zbrodnicze zapędy Nuradyna z trywialnymi epizodami pseudo-miłostek? Na rynku w Burgosie zachowuje się ludność jak zwierzęta na tokowisku; po kilku konceptach pary uchodzą w sposób wcale niedwuznaczny. W jakim kraju władczynie przekradają się nocą o niepewnej pogodzie do odległych nor czarownic, mogąc je sprowadzić na dwór razem z żywymi kotami i wypchanemi sowami? Jakże hojnie szafuje autor piorunami, on, który sam powiada, że dopiero „wielkością mogły zbudzimy gromy drzemiącego Boga“! Hrabina bierze na syna truciznę od czarownicy, uchodzi, nie, jeszcze w przedsionku staną ć ma w świetle błyskawic. To są bengalskie ognie, ale nie poezya; to jest tragiczny balet, ale nie sztuka. Dlaczego autor wprowadził żywioł komiczny do żywiołu tragicznego? Jeżeli Shakespeare obok mędrca stawia mędrka, to stwarza odrazu tak zwaną sytuacyę. Tymczasem stara Inez z emfatyczną Awą żadnej sytuacyi nie tworzą, prócz wzajemnego przeszkadzania sobie. Jeżeli zgodzimy się na to, że Nuradynowi do całej akcyi niezbędny jest Almanzor, to czem po za tem jest ów Almanzor w całej tragedyi? Co wnosi z sobą? Co z nim pada?

Można rzucać pytania pełnemi garściami i otrzymuje się jedną odpowiedź. Gliński umie pisać piękne wiersze, ale piękne wiersze nie dają jeszcze dramatu. Autorem scenicznym nie jest. Nie umie on odtwarzać gry namiętności, kreślić charakterów i plątać psychologicznie węzła kolizyi dramatycznej. Ale nie stoi jeszcze u kresu swej drogi autorskiej. Gdyby wchłonął w siebie cały dorobek dzisiejszej dramaturgii europejskiej, gdyby zechciał zrozumieć znaczenie *naturalności* w sztuce, gdyby zwrócił się do życia po wzory, patrzył i przerabiał w sobie to, co zobaczy, gdyby wreszcie twórczość swą skupił, kto wie, czy nie dałby nam w przyszłości jakiego utworu scenicznego, któryby nas, jak to mówią, „wziął“ i szczerszym a trwalszym kwiatem nagrodził autora, niż te, jakie mu rzucali przyjaciele. A zresztą nie ten jest przyjacielem dobrym, który obsypywaniem kwiatów oszałamia, lecz ten, który mówi: nie łudź się, bracie!

Andrzej Niemojewski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Estrada pobiła scenę w tegorocznym turnieju muzycznym, podczas gdy artyści włoscy śpiewają przed pustemi niemal miejscami, w salach koncertowych trudno docisnąć się do własnego krzesła. Powód prosty: z estrady słyszymy pierwszorzędnych wirtuozów, na scenie mamy do czynienia w większej części z wybrakowanymi śpiewakami teatrów włoskich. Jeden średni tenor bowiem (p. Russitano) i jeden, bardzo dobry nawet, sopran koloraturowy (p. Huguet) nie mogą podtrzymać opery, zapewnić rozmaitości w repertuarze. Co prawda, to o urozmaicenie repertuaru nie troszczy się nasza reżyserya, nawet gdy ma do rozporządzenia wybitnych artystów — Battistini np. już podobno wcale przyjechać nie chce, w słusznej obawie, żeby nie uprzykrzyć się publiczności słuchającej go zawsze w jednych i tych samych rolach. Okres tych niefortunnych tegorocznych popisów włoskich ma się wszakże ku schyłkowi, a pewni jesteśmy, że publiczność dobrze tylko na tem wyjdzie—skład opery naszej wystarczy w zupełności do utrzymania, a nawet do odświeżenia repertuaru. Artyści, którzy tak zwycięzko pokonali trudności „Goplany“ i tak umieli uwydatnić jej piękności, że opera Żeleńskiego po dziesiątkach przedstawień ciągle jeszcze zapełnia salę teatralną— podołają z pewnością i dziełom cudzoziemców. Mieliśmy zresztą pochlebne tego dowody choćby w „Rycerskości wieśniaczej,“ a „Carmen“ w nowej obsadzie (pp. Strasserówna i Korolewiczówna oraz p. Grąbczewski) niewątpliwie będzie potwierdzeniem naszego mniemania.

System dublowania ról jest u nas jeszcze do tego stopnia niezwykłym, że „Goplana“ w pełni powodzenia musiała zejść na czas dłuższy z repertuaru; p. Chodakowski bowiem — wykonawca partyi Kostryna — zasłabł czy też wyjechał. Gdyby nagle zabrakło jednej z przedstawicielek ról niewieścich, byłoby to do wytłomaczenia; ról tych jest tyle w „Goplanie,“ że reżyser bogatszego nawet w śpiewaczki teatru znalazłby się w kłopocie, gdyby przyszło do dublowania partyj. Mężczyzn natomiast wprowadził Żeleński tylko trzech do swej opery, łatwiej znacznie zatem ich zastąpić, zwłaszcza gdy chodzi o barytona, skoro stałym artystą naszej opery jest p. Grąbczewski. Z innego jeszcze względu przerwanie przedstawień „Goplany“ przyszło bardzo nie w porę: Żeleński bawił znów w naszem mieście, przyjechał na koncert jubileuszowy, krzywda zatem stała się kompozytorowi, że nie mógł przekonać się naocznie, jak umiano ocenić u nas jego niepospolite dzieło.

Zdawałoby się, że w sztuce wykonawczej technika wydoskonalona, doprowadzona do ostatecznych jakoby granic, jest czynnikiem takim niezbędnym, iż sprawnością palców nikt nas już dziś zadziwić nie zdoła, że pewność uderzenia, czystość gam, subtelność trylu i potęga oktaw nikogo w zdumienie nie wprawiają. Aby osiągnąć głębsze wrażenie tą stroną wirtuozostwa, trzeba ją zabarwić jakimś odmiennym charakterem, nadać nowe, indywidualne piętno. Taką techniką zupełnie odrębną nacechowana jest gra p. Levinne'a, który dwukrotnie popisywał się przed naszą publicznością (d. 16 z. m. w Tow. muz. i 27-go w sali ratuszowej na koncercie na „Przytulisko"). Obdarzony stalowymi, zdawałoby się, palcami, metalowe też dźwięki wydobywa z fortepianu, klawiatura pod uderzeniem jego nigdy nie huczy niezrozumiałą falą brzmienia, słuchacz nawet wtedy, gdy artysta pędzi po klawiszach gamą oktawową, przy użyciu pedału, odróżnić może każdy pojedynczy ton; śród najzawilszych pomysłów technicznych kompozytora zdoła uchwycić rysunek melodyi, którego znakomity wirtuoz nigdy nie zatraca. Nadto, przy bajecznej sile nie ramienia, lecz samej dłoni i palców, ma uderzenie niesłychanie delikatne, powiewne niemal, tak że *pianissimo* jego to niby drżenie strun pod powiewem łagodnego wiatru. Beethoven, Schumann, Mendelssohn, Chopin, Liszt, Rubinstein, Tausig, Godard—mieli kolejno w p. Levinne świetnego tłomacza. Rzecz oczywista, iż skoro odrębnością jego talentu jest technika, techniczna też strona tych utworów najświetniej się przedstawiała; nie zdaje nam się, aby np. „Toccata" Schumanna, utwór pod względem trudności technicznych niemający chyba sobie równego — mogła być kiedykolwiek lepiej wykonana. Może p. Levinne nie zawsze stał na wysokości zadania, gdy chodziło o uwydatnienie duchowej strony wykonywanego dzieła, nie wszędzie z odpowiednim poczuciem myśl kompozytora uplastycznił — lecz wszechstronnym być niepodobna. Wszak nawet taki tytan gry fortepianowej, jak Antoni Rubinstein, zwykł był mawiać: *Des fausses notes, que je joue, je pourrais donner un second concert.*

Po latach wielu powrócił znów do Warszawy Sarasate i po dawnemu zachwycał słuchaczów temi wszystkiemi zaletami swej gry, które go stawiają w rzędzie najwybitniejszych skrzypków dzisiejszych. Śmiesznem wprost wydaje nam się przy ocenie gry artysty wyliczanie tego, czego mu brak — dlaczego, zdając sprawę z występu tragika, nie ubolewamy nad tem, że nie umiałby nas rozweselić jaką komiczną rolą? Więc gdy wiadomo, że specyalnością Sarasatego jest niezrównana dotąd słodycz i śpiewność tonu, najdoskonalsza technika, tryl, odzywający się prawdziwie słowiczymi dźwiękami, niepokalana czystość gry, ognisty temperament, wytworne frazowanie,—nie wymagajmy od niego, aby miał ton głęboki a grę smyczka taką, by ponad *tutti* orkiestrowem mógł górować, nie żądajmy, aby wykonywał utwory nieodpowiadające indywidualności jego artyzmu i nie zapominajmy, że Sarasate jest skrzypkiem-solistą *par excellence*.

Znakomity wirtuoz dał dwa koncerty własne w salach Redutowych, nadto zaś, wespół z panną Gordigiani i p. Levinne złożył daninę na ołtarzu dobroczynności—wziął udział w koncercie na „Przytulisko" w sali ratuszowej (d. 27 z. m.).

Br. N.

W DALI.

Kalisz. Ziemianie w gub. Kaliskiej jak, donosi *Kuryer War.*, ubezpieczali się od gradobicia w towarzystwie niemieckiem „Borussia," którego agenci nie zawsze wywiązywali się należycie ze swoich przyrzeczeń i zobowiązań. Z tego powodu pp. Zygmunt Wyganowski, Wojciech Wyganowski, dr. Henryk Chrzanowski, Wojciech Fijałkowski i Antoni Kulikowski zawarli z Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń ziemiopłodów od gradobicia w Moskwie układ, na mocy którego przyjmuje ono ubezpieczenia w naszym kraju, na warunkach Tow. „Borussia." Ponieważ ryzyko ubezpieczonych zmniejsza się w stosunku liczby uczestników, przeto wymienieni powyżej ziemianie wystosowują do rolników kaliskich odezwę, wzywającą do korzystania z zawartego przez nich układu.

Sosnowice. Ruch zbożowy w Sosnowicach, Granicy i Dąbrowie Górniczej był przez kilka ostatnich miesięcy bardzo ożywiony. Codziennie do Prus i Austryi wysyłano około stu wagonów zboża. Obecnie osłabł. Przyczyną tego jest podwyżka cen zboża w wewnętrznych guberniach Cesarstwa i łatwość zbycia na miejscu. Prócz tego kupcy zagraniczni nabywają chętnie tylko ziarno wyborowe i dobrze czyszczone, a ponieważ doznali nieraz zawodu, więc niechętnie zawierają tranzakcye z handlarzami tutejszymi. Do naszych stacyj pogranicznych zboże nadchodzi przeważnie ze stacyj: Urupino, Pietrowsk, Piratin, Tri Ostrowa, Baratynskaja, Borki, Jełań i wielu innych na kolei Kazańsko-Uralskiej, Syzrańsko-Wiazemskiej, Moskiewsko-Kijowsko-Woroneskiej i Południowo Zachodnich. Mąka pszenna (krupczatka) nadchodzi w znacznej ilości z Nowoukrainki, Płoskirowa, Hajsyna i Połtawy. Przewóz transportu 750 pudów z kolei Uralskiej i Samarsko-Zlatoustowskiej wraz z innymi wydatkami kosztuje do 260 rs. za wagon. Często wagon zboża błądzi po różnych kolejach, często nadchodzi do stacyi pogranicznej z brakiem wagi lub ze zbożem zepsutem. Wówczas handlarz występuje z pretensyą do kolei i najczęściej, naturalnie sprawę wygrywa, a kolej płaci za zboże. Towar zepsuty na licytacyi kupuje za bezcen inny handlarz, czasem podstawiony i sprzedaje ponownie z dobrym zyskiem. Informacye te czerpiemy z *Kuryera War.*

Petersburg. Dzienniki petersburskie podają następujące bardzo ciekawe szczegóły ze stosunków rolnych w Finlandyi. Przesilenie rolne w tym kraju zrodziło śród większych właścicieli myśl utworzenia związku rolnego dla zjednoczenia spraw ekonomicznych i rozstrzygnięcia zagadnień, w związku z poprawą bytu właścicieli i włościan, ich zdolności kredytowej, przeprowadzenia ulepszeń i t. d. W tym celu urządzane będą kilka razy do roku zjazdy rolnicze po miastach i wsiach. Przewodniczyć obradom mogą uczeni agronomowie i praktycy, tak, iż zebrania dadzą korzyści i naukowo-ekonomiczne i zawodowe, a przedewszystkiem będą miały znaczenie kształcące. Na sekretarzy mają być powoływani również rolnicy doświadczeni z pośród osób, nie posiadających własnych majątków; sekretarze będą prowadzili protokóły, sprawozdania, nabywali zboże na zasiew, maszyny i narzędzia rolnicze, inwentarz rozpłodowy i t. d. Warunek, ażeby sekretarze nie posiadali i nie dzierżawili majątków, ma na względzie rękojmię sumiennego wykonywania obowiązków. Fundusz na operacye handlowe zjazdów powstaje z odliczenia 4% od wkładów członków i 2% od zysków. Finlandczycy spodziewają się, iż związek uwolni włościan z rąk pośredników i wpłynie dodatnio na poprawę gospodarstw i hodowli.—Według zapewnienia *Grażdanina*, wice-ministrem oświaty zostanie obecny kurator okręgu naukowego petersburskiego, p. Kapustin. — Z powodu mowy, wypowiedzianej przez nowego ministra oświaty, p. Bogolepowa, który zaznaczył, że jest przeciwnikiem „nagłego radykalnego burzenia," *Now. Wrem.* rozsnuło następujące uwagi: „W ciągu ostatniego ćwierćwiecza w dziejach naszej szkoły wyższej i średniej panowała właśnie zasada wręcz odmienna: nie system szkolny stosowano do życia rosyjskiego, lecz życie rosyjskie naginano na różną modłę do systemu szkolnego, zaprowadzonego przez hr. Tołstoja według planu Katkowa i Leontjewa. Za hr. T. stosowano tę metodę z nieubłaganą stanowczością, za jego następców — z zamiarem przytarcia jej rogatych ostateczności. Wszelako i przy ścisłym rygorze i przy osłabnięciu jego ów system nie przyniósł, nie przynosi i z pewnością nie przyniesie wyników, spodziewanych przez jego twórców. Teraz już nikomu nie przyjdzie do głowy spierać się o to. Życie dawno wyrzekło swoje słowo zarówno o ustawie naszych gimnazyów, jako też o nowej uniwersyteckiej. Krótko mówiąc, bardziej niż kiedykolwiek zachodzi konieczność zasadniczej reformy. Rzecz polega nie na burzeniu od podstaw, co zawsze szkodzi szkole, jak wykazała to i reforma hr. Tołstoja, lecz na takiem zastosowaniu zapożyczonego systemu do życia rosyjskiego, któreby w istocie rzeczy było pożyteczniejsze i więcej warte, niż najszerszy program."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum komunikacyj rozważa projekt dopuszczenia kobiet na posady buchhalterów i kasyerów kolejowych.

Prasa. P. Jadwiga Golcz otrzymała koncesyę na miesięcznik ilustrowany p. t. *Światło*, w Warszawie. Na redaktora zatwierdzono kandydata nauk przyrodniczych, p. Józefa Boguskiego. Program: artykuły naukowe z dziedziny fotografii, fototypii, fotolitografii, litografii, chromolitografii, drukarstwa, heliograwiury i t. d., sprawozdania o rysunkach plastycznych, artykuły, dotyczące bytu i stosunków handlowych pracowników na polu fotografii i t. d.

— Na redaktora *Przeglądu Pedagogicznego* w miejsce p. Dawida zatwierdzono b. nauczyciela III gimnazyum męzkiego w Warszawie, p. Władysława Skrzetuskiego.

— Prawo wydawania czasopisma p. t. *Drukarz i księgarz* przeszło na własność p. Wacława Ratyńskiego.

— Redaktorowi i wydawcy wychodzącej co miesiąc w języku rosyjskim i polskim *Gazety adresowej m. Warszawy*, p. Wojciechowi Wiśniakowskiemu, pozwolono wydawać ją co tydzień p. t. *Gazeta informacyjno-adresowa m. Warszawy* i pobierać przedpłatę po rs. 1 kop. 35 rocznie z przesyłką.

— Panu Alfredowi Sonerowi pozwolono wydawać w Łodzi pod własną redakcyą dwutygodnik w języku rosyjskim p. t. *Żurnal technologii, promyszlennosti i torgowli*.

— Sekcyi handlowej Towarzystwa rolniczego w Mińsku pozwolono wydawać tam bez cenzury prewencyjnej, pod redakcyą adwok. przys. Zygmunta Węcławowicza i kandydata agronomii, Tomasza Kamieńskiego, tygodnik p. t. *Sprowocznyj listok minskawo ziemledielczeskawo sindikata*. Program obejmuje rozporządzenia i wiadomości rolnicze, handlowe, targowe, giełdowe i t. d., a przedpłata wynosi 3 rs. rocznie.

Konkursy. Dyrekcya teatrów rządowych warszawskich postanowiła przebudować teatr Rozmaitości oraz wznieść dom dochodowy na placu od strony ul. Wierzbowej i Trębackiej. W tym celu ogłosiła konkurs na plany robót. Współubiegać się o nagrody mogą architekci warszawscy i inni. Nagrody za projekty najlepsze będą następujące: pierwsza 1,000 rs., druga 400, trzecia 300, czwarta 200.

— Redakcya dziennika *Słowo polskie*, we Lwowie, ogłasza konkurs na fejleton. Głównym warunkiem jest lekka forma utworu i treść zajmująca, przyczem redakcya nie krępuje autorów wyborem tematu. Fejleton ma mieć najwięcej 200 wierszy druku. Termin nadsyłania prac do dnia 1 kwietnia. Każda z prac, uznana przez redakcyę za godną ogłoszenia drukiem, będzie umieszczona w odcinku dziennika. Nazwiska autorów należy przesyłać w kopertach zamkniętych. Sąd konkursowy stanowić będzie sama publiczność. Pierwsza nagroda za utwór, który otrzyma największą ilość głosów czytelników, wynosi 100 koron. Nadto cztery fejletony, na które po za pierwszą nagrodą padnie największa ilość głosów, otrzymają nagrody w wysokości 60, 40, 30 i 20

koron. Za wszystkie fejletony wydrukowane redakcya zapłaci nadto po 5 centów od wiersza.

Sądy. Dn. 7 marca departament II karny izby sądowej warszawskiej przystąpił, jako sąd I-ej instancyi, do rozpoznania sprawy grona urzędników z pow. Opoczyńskiego, z powodu nadużyć, spełnionych podczas cholery 1894 r. Oskarżeni: naczelnik powiatu, radca dworu Jerzy Herman, lekarz powiatowy, Feliks Bijejko, burmistrz m. Opoczna Jan Sojda, urzędnik magistratu m. Opoczna, Stefan Borowski, pisarz gminy Klwów, Tadeusz Assondi, wójt gminy Studzienna Leon Chołociński, pisarz tejże gminy, Stefan Worociński, członek dozoru bóżniczego m. Opoczna Zygmunt Neufeld, wójt gminy Klwów, Adam Nowak. Urząd prokuratorski wezwał 352 świadków. Ponieważ zaś oskarżony Herman prosił o zbadanie jeszcze 53, ogólna więc liczba świadków wynosi 405. Całą sprawę streścimy w numerze następnym.

Zdrowie publiczne. Rada lekarska ministeryum spraw wewnętrznych zabroniła zupełnie używania aniliny do zabarwiania win, cukrów i wogóle produktów żywności. Czy jednak zakaz ten będzie ściśle przestrzegany w życiu?

Odczyty. W Łodzi zapowiedziano szereg odczytów, które się rozpoczną 20 b. m. Mówić będą: p. Antoni Pilecki „O Adamie Asnyku," p. Ksawery Służewski „O telefonach bez drutu."

Przemysł i handel. Zarządzający okręgiem akcyzowym lubelskim, obejmującym trzy gubernie, zawarł umowę z artelem moskiewskim, który nadesłał mu odpowiednią liczbę ludzi do objęcia posad kontrolerów sklepów monopolowych. Do obowiązku ich należą peryodyczne rewizye wszystkich sklepów w okręgu i odbiór pieniędzy od subjektów sklepowych, celem składania ich w najbliższej kasie powiatowej. Artel, solidarnie odpowiedzialny za swoich ludzi, złożył kaucyę w wysokości 50,000 rs.

— Nowa taksa aptekarska zacznie obowiązywać w kwietniu. Ceny nowych preparatów zniżono.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu w Łodzi.

Katastrofy. W kopalni „Carolinenglück" w Hamme pod Bochum wybuch gazów pozbawił życia 122 górników. Na rodziny ofiar katastrofy urządzone będzie w Berlinie wielkie przedstawienie. Co za ironia!..

— Na kolei Bałaszowskiej pociąg towarowy podczas wekslowania, skutkiem mylnego przestawienia zwrotnicy uderzył o zaporę. Maszynista zginął na miejscu, palacz śmiertelnie raniony, pomocnik maszynisty i nadkonduktor również ciężko poranieni. Na tej kolei wypadki takie dość często się zdarzają.

Zmarli. Erazm Nowakowski, w Warszawie, profesor warsz. Instytutu muzycznego. Pisał dużo w zakresie historyi muzyki polskiej i pedagogiki fortepianowej oraz pozostawił w rękopisie materyał do encyklopedyi muzycznej.

— Karol Schefer, w Paryżu; znakomity oryentalista.

— Dr. Roman Jasiński, w Warszawie; pożyteczny i gorliwy pracownik na niwie lekarskiej, ordynator szpitala dla dzieci. Zasilał swojemi pracami *Pam. Tow. lekarskiego*, *Gaz. lekarską* i *Medycynę*. Do większych należy dzieło p. t. „Dyagnostyka chirurgiczna" (1895 r.). Zabierał także nieraz głos w sprawach ogólnych, dotyczących zdrowia powszechnego.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Февраля 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.